

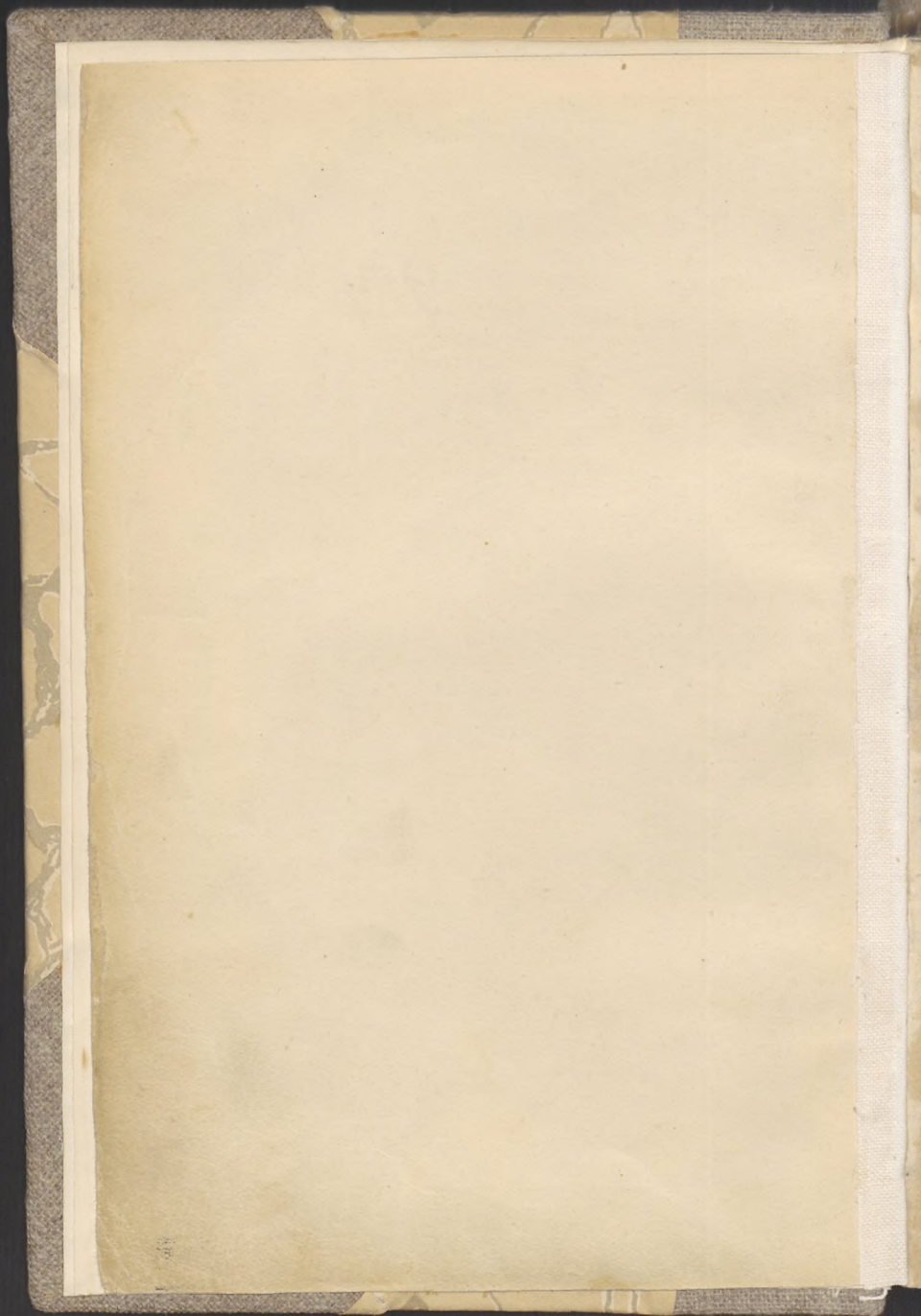
P. 1.462. 147

MAVRICE LEBLANC




HRABINA CAGLIOSTRO
CÓRKA
JÓZEFA BALSAMO






~ I. 462. 147

CÓRKA JÓZEFA BALSAMO
HRABINA CAGLIOSTRO



Co w Arsenie Lupinie jest rzeczą odrębną i jedyną w swoim rodzaju? „Nana“ to postać powieściowa Emila Zoli, „Zagłoba“ bohater powieści Sienkiewicza. Co się zaś tyczy Arsena Lupina nikt, kto się choć raz z nim spotkał, nie pyta się: czyj on jest? To nie jest literatura — to rzeczywistość. Arsen jest człowiekiem z krwi i kości. Arsen żyje! Czy jest on człowiekiem poza prawem? Z pewnością! Ale przede wszystkim jest człowiekiem czarującym. Nie tylko dlatego, że koleje jego życia, zapierające nam oddech, są co raz to inne, lecz, ponieważ w każdej przygodzie okazuje się innym jako człowiek. Pomysł i tempo wydarzeń każą nam zapominać o tem, że mamy do czynienia z tworem doskonałego pisarza Leblanc’a.

— Brawo Arsenie! — woła się, skończywszy tom, i z niecierpliwością czeka się na drugi.



MAURICE LEBLANC



CÓRKA JÓZEFA BALSAMO
HRABINA CAGLIOSTRO

TOM I.

Z UPOWAŻN. AUTORA PRZEKOŹYŁ

J A N L A S



 KRAKÓW — WARSZAWA 
WYDAWNICTWO »PANTEON«

.....
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA



T. 1. 462. 147



T. 1.

1983 k 425/64a



ARSENE LUPIN
W DWUDZIESTYM ROKU ŻYCIA.

Raul d'Andrassy zeskoczył z roweru i zgasił latarnię, płonąca u kierownicy białem, ostrem światłem. Rozejrzał się wokoło i, wyszukawszy rozłożysty krzak, starannie ukrył pod nim rower. W tej samej chwili zegar na wieży kościelnej w Bénouville wybił godzinę trzecią.

Okryty głębokim mrokiem nocy, młody człowiek szedł polną ścieżką, prowadzącą do majątku Haie d'Etigues; po krótkim marszu zbliżył się do muru okalającego pałac, — starą, wspaniałą rezydencję magnacką. Zatrzymał się przez chwilę, nad słuchując z natężeniem: dobiegł go odgłos kopyt końskich uderzających o bruk podwórza, głuchy turkot toczącego się przez nie powozu, echo głośnej detonacji i wreszcie przeraźliwy

zgrzyt szeroko otwieranej bramy. Jakiś brek go minął i zanim Raul zdołał cośkolwiek rozróżnić w bezładnym gwarze dobiegających zeń głosów — już woźnica skręcił na szosę prowadzącą ku Etrétat.

— Polowanie — pomyślał młodzieniec — bezwątpienia jada aż na Skały, a że jest to daleko, będę więc miał dość czasu, aby wykryć, zanim powróca, co oznacza to zaimprowizowane tak zmagła, zebranie łowieckie, te bezustanne przyjazdy, wyjazdy i narady.

Skręciwszy na lewo szedł wzdłuż muru; uszedłszy czterdzieści kroków zatrzymał się, i wyciągnąwszy z kieszeni dwa klucze, jednym z nich otworzył wąskie, niskie drzwi w murze. Po starych, napół wałących się schodach wspiął się na pierwsze piętro jednej z pałacowych oficyn; drugim kluczem otworzył tajne drzwiczki i znalazł się w długim, ciemnym korytarzu. Służba pałacowa mieściła się po przeciwnej stronie, a drugie piętro oficyn zamieszkiwała Klaryssa d'Etigues, jedyna córka starego barona. Raul wiedział o tem, to też bez najmniejszej obawy

i nie zachowując żadnych środków ostrożności, skierował się w stronę gabinetu barona; w tym to wielkim, poważnie umeblowanym pokoju, przed paroma zaledwie tygodniami, prosił barona o rękę córki. Tutaj spotkała go gwałtowna, obelżywa odmowa, której wspomnienie dziś jeszcze budziło w nim uczucie niepoahamowanego gniewu.

Duże lustro ściennie przesłało mu odbicie jego bladej, ściągłej twarzy; Raul d'Andrassy zatrzymał się chwilę, aby przy świetle kieszonkowej latarki przyjrzeć się sobie. Ale że nie zwykł był tracić czasu, i w każdej sytuacji pamiętał o raz nakreślonym celu, więc po paru chwilach z zupełnym spokojem i zimną krwią zabrał się do roboty.

Nie była ona ani długą ani zbyt skomplikowaną; podczas owej burzliwej rozmowy z ojcem Klaryssy, młody człowiek zauważył, iż spojrzenie starego barona, bieгло, ze źle ukrywanym niepokojem, ku wielkiemu, mahoniowemu biurku, którego ruchome wieko, nie było podniesione. Raul znał budowę najbardziej skomplikowanych mechanizmów i umiał otworzyć najoporniejszy

zamek; to też po krótkim wysiłku opuścił wieko staroświeckiego biurka i zabrał się do przetrząsania wszystkich jego skrytek. W jednej z nich znalazł list, pisany na bardzo cienkiej bibułce i nie zawierający ani podpisu ani adresu.

Treść jego w pierwszej chwili wydała mu się bez znaczenia, z niektórych zdań jednak umyślnie urywanych, ze słów, których podwójnego znaczenia się domyślał, zdołał po pewnym czasie odbudować tekst następujący:

„Udało mi się w Rouen natrafić na ślady nędzniczy. Pomieściłem więc w tamtejszych gazetach notatkę, iż pewien włościanin z okolic Etretat, kopiąc swe pole, natrafił na świecznik siedmioramienny. Dowiedziałem się, iż wkrótce potem wysłała depeszę do naczelnika stacji w Fécamp z prośbą o zamówienie jej koni na dworzec, na godzinę 3-cią popł. w dniu 12 b. m. Tegoż dnia rano depesza ta zostanie odwołaną; w ten sposób konie, które zastanie na stacji, będą *Twoimi* końmi i zawiozą ją do nas, na nasze zebranie. Będziemy więc mogli ją osądzić i wyrok wykonać z całą surowością. Nie przesądzając

o wyniku, radziłbym jednak pamiętać o naszej ostatniej rozmowie, a przede wszystkim o tem, iż całe powodzenie naszego zamysłu, ba, poprostu bezpieczeństwo naszego życia, zależy od tej piekielnicy. Zaklinam Cię, abys był rozsądnym. Pod pozorem polowania zwołaj naszych przyjaciół. My trzej przybędziemy przez Hawr i staniemy na miejscu punkt o czwartej. List ten zwrócisz mi przy spotkaniu”.

— Zbytek ostrożności jest także błędem — pomyślał Raul — gdyby zamiast chować ten list celem zwrotu nieufnemu autorowi, baron go spalił, nie dowiedziałbym się nigdy, iż projektuje tu porwanie, a może nawet morderstwo. Mimo całej swej pozornej pobożności przyszedł mój teść wplątał się w bardzo brzydką sprawę. Ale im gorzej dla niego, tem lepiej dla mnie.

Raul zatarł ręce; niezwykła ta sprawa pociągała go. Nie była dlań zresztą zupełnie nieoczekiwana. Niektóre bowiem, na pozór drobne fakty, oddawna już obudziły jego czujność. Przeprowadziwszy biurko do porządku, postanowił

wrócić do zajazdu, przespać się, a nazajutrz zawczasu objąć czaty, aby być świadkiem tego, co przedsięwzięmie baron i jego przyjaciele przeciwko „piekielnicy“, której zguby tak zdawali się pragnąć.

Raul jednak nie odszedł; jakby mimowoli zatrzymał się przed małym stolikiem, na którym stała fotografia Klaryssy d'Etigues. Z niewypowiedzianą tkliwością wpatrzył się w delikatne, śliczne rysy dziewczęcia. Klaryssa była niewiele młodszą od niego, miała lat osiemnaście; wielkie, marzące oczy koloru najczystszej błękitu, spoglądały z pod bujnej czupryny barwy roztopionego złota, świeże ponsowe usta uśmiechały się niewinnie a kusząco w delikatnej, dziecinnie różowej twarzyczce.

Jakaś chmura przysłoniła twarz młodzieńca: Klaryssa była opodal i to sama. Dzięki tajemniczemu przejściu, które mu pokazała i kluczem, w jakie go zaopatrzyła, zdołał już dwukrotnie, niepostrzeżony przez nikogo, widzieć się z nią w godzinach popołudniowych. Czemuż nie miałby pójść do niej teraz? Służba nocowała zbyt da-

leko, aby usłyszeć jakikolwiek szmer, a baron mógł wrócić dopiero przed wieczorem.

Raul nie mógł oprzeć się pokusie, wiedziony dumą, miłością, pożądaniem, biegł szybko na schody, wiodące ku pokojom ukochanej. Ale drzwi tych pokoi były zamknięte i młody człowiek, sam nie zdając sobie sprawy czemu, zatrzymał się na ich progu. Z taką łatwością, z takim pośpiechem wchodził tu już dwukrotnie, ale było to we dnie. Jakież inne znaczenie miał ten sam krok w nocy!

Wahanie jednak nie trwało długo. Raul zapukał i zawołał z cicha:

„Klarysso... Klaro... to ja“.

Głucha cisza była całą odpowiedzią; młody człowiek zapukał natarczywiej, jeszcze i jeszcze raz. Wówczas drzwi uchyliły się nieco i młoda dziewczyna stanęła na progu. W łagodnym świetle nocnej lampy Raul dostrzegł drżenie jej rąk, bladość, przestрах jaki malował się w jej spojrzeniu — i wzruszył się.

— Najdroższa moja — szepnął —

mi... Nie uczynię ci nic złego. Chciałem Cię tylko zobaczyć i oddałę się na pierwsze twoje żądanie.

Gdyby Klaryssa mogła była usłyszeć te słowa i zdać sobie z nich sprawę, byłaby uratowaną; niestety, przestrah i wzruszenie odebrały jej przytomność i siły. Chciała się gniewać, chciała się bronić. Ale ani jedno słowo nie wyszło z jej ust, a ramię jej nie mogło wykonać ani jednego ruchu. Pobladła bardziej jeszcze, zachwiała się i zemdlona upadła na ziemię. Raul był już przy niej, uniósł ją w ramionach i tuląc do piersi, pocałunkami starał się przywołać ją do przytomności.

Spotkali się trzy miesiące temu, na południu Francji, gdzie Klaryssa bawiła u szkolnej przyjaciółki, i pokochali się od pierwszego wejrzenia. Dla niego miłość ta była czemś nieskończenie drogiem, czemś świętem, co podtrzymywało go i przyświecało mu w najśmielszych jego zamiarach; dla niej były to więzy ciężkie, ale z każdym dniem droższe. Kochała Raula, nie mogąc zrozumieć jego natury bogatej, ale tak nieuchwytniej, tak zmiennej. Jego lekkomyślność,

ironja, jego duma — przestraszały ją, ale nie mogła oprzeć się temu czarowi, jaki wokół siebie roztaczał. Nawet jego wady wydawały się jej zaletami; kochała w nim nawet to, czego zrozumieć nie mogła.

Po powrocie do Normandji, zauważyła któregoś ranka jego zgrabną postać naprzeciw swych okien. Zamieszkał w pobliskim zajeździe i codzień widywał się z nią potajemnie.

Klaryssa nie miała matki; mieszkała stale przy ojcu, który mało się nią zajmował. Był to zresztą, przy całej swej przesadnej pobożności, człowiek twardy, gwałtowny i próżny. Dzierżawcy i włościanie nienawidzili go, a gdy Raul, nie będąc mu nawet formalnie przedstawionym, zdołał się na czelność proszenia go o rękę jego córki, stary baron wpadł we wściekłość i byłby obił szpicrutą niefortunnego konkurenta, gdyby Raul nie był go pohamował jednym z tych spojrzeń, jakimi się poskramia dzikie zwierzęta. Pan d'Andrassy, nie był zresztą istotnie odpowiednią partją dla panny d'Etigues; nikt nie znał jego ro-

dziny, a on sam był młodzikiem, bez fortuny i bez stanowiska.

Klaryssa jednak spoglądała nań innemi oczyma; dla niej był on całym światem; z zaufaniem młodego, niewinnego dziewczęcia powierzyła mu klucze swego buduaru, a on dziś wyzyskał to zaufanie z całą bezwzględnością zakochanego...

Następnego ranka panna d'Etigues nie zeszła na śniadanie, lecz kazała je sobie przynieść do sypialni; Raul ukrył się w przyległym pokoju. Po śniadaniu usiedli pod oknem i długo wpatrywali się w morze, objęci tkliwym uściskiem, myśląc o minionej nocy, która złączyła ich silniej, niż wszystko, co sobie dotychczas powiedzieli.

Klaryssa płakała...

Raul ujął jej dłonie i szepnął łagodnie.

— Nie smuć się, kochanie. W naszym wieku życie jest tak pięknem! Wierzaj mi, że pokonamy wszystkie przeszkody i zdobędziemy szczęście.

Klaryssa obtarła oczy i usiłowała się uśmiechnąć; spojrzenie jej z niewypowiedzianą tkliwością spoczęło na ukochanym: był smukły,

ale silnie zbudowany, śmiało lecz zarazem wesołe spojrzenie jego oczu przeczyło ironicznemu wyrazowi ust. Ubrany w krótkie spodnie sportowe i doskonale skrojoną marynarkę, wyglądał zgrabnie i elegancko.

— Raulu — szepnęła z wyrzutem — spoglądasz na mnie, a jednak czuję, że myślą jesteś gdzieś daleko. Czyż po tem wszystkiem, co między nami zaszło, nie umiesz mi poświęcić niepodzielnie tych kilku godzin naszego sam na sam? O czem myślisz, Raulu?

Młody człowiek roześmiał się.

— O twoim ojcu — odparł.

— O moim ojcu?

— O nim i o jego gościach. Powiedz mi, jak mogą ludzie w ich wieku spędzać całą noc i prawie cały dzień na strzelaniu Bogu ducha winnych ptaków?

— To ich bawi.

— Tak myślisz, Klaro? A ja ci powiem otwarcie, że gdybyśmy nie żyli w roku 1894 posądziłbym twego ojca... wiesz o co? O spisek. Markiz de Rolleville, p. de la Beaupaliere, hr.

Oskar de Bennetot, p. Roux d'Estieres — wszyscy ci zacni panowie z prowincji Caux zebrali się tu dla spisku.

Klaryssa uśmiechnęła się z niedowierzaniem.
— Żartujesz, mój drogi.

— A jednak tak chętnie mi się przysłuchujesz, — odparł Raul, przekonany, że dziewczę nie zrozumiało nic z tego, co mówił — i widzę po twych oczach, że czekasz kiedy przejdę do poważniejszych tematów.

— Na temat miłości — odparła Klaryssa, obejmując szyję kochanka.

— Całe moje życie jest i będzie tylko miłością dla ciebie, Klaro. Wszystkie moje kłopoty, wszystkie zmartwienia związane są z niemożnością zdobycia ciebie, wszystkie poczynania dążą tylko do tego celu. Wyobraź sobie taką sytuację, maleńka: twój ojciec, jako spiskowiec zostanie aresztowany i skazany na śmierć — a ja go wyratuję. Czyżby mógł mi wówczas odmówić ręki swej córki?

— Tak czy inaczej, wcześniej czy później, ojciec ustąpi naszym prośbom.

— Nigdy... nie posiadam majątku... żadnego poparcia...

— Masz swoją imię... Raul d'Andrassy...

— Nie mam nawet tego. D'Andrassy jest panińskim nazwiskiem mojej matki; owdowiawszy, wróciła doń za namową rodziny, która była zawsze przeciwną jej małżeństwu.

— Czemu? — spytała Klaryssa, zdziwiona temi nieoczekiwanemi wiadomościami.

— Czemu? Bo mój ojciec był sobie zwykłym śmiertelnikiem, bez tytułu, bez majątku... biedny, jak Hiob. Zwykły, skromny nauczyciel i to jeszcze jaki? Nauczyciel gimnastyki, fechtunku i boksu!

— Więc jakie jest twoje prawdziwe nazwisko?

— Bardzo, bardzo pospolite, moja biedna Klarysso.

— Ale powiedz mi wreszcie, jak się nazywasz.

— Arsene Lupin...

Klaryssa siedziała bez ruchu. Dla niej oświadczenie nazwiska jego było rzeczą obojętną, ale

myślała o ojcu, dla którego szlachectwo było kwestją pierwszej wagi, warunkiem, od którego nie byłby za nic odstąpił przy wyborze zięcia.

— Nie powinieneś być się wypierać swego ojca — szepnęła wreszcie — być nauczycielem nie jest żadną hańbą.

Raul roześmiał się śmiechem, którego dźwięk dziwną przykrość sprawił Klaryssie.

— Żadną hańbą — powtórzył — i mogę cię zapewnić, że lekcje boksu i gimnastyki, jakich mi mój ojciec nie szczędził, nieraz mi się już dobrze przydały. To matka moja miała przyczyny, dla których „wyparła“ się ojca, przyczyny, o których nie wspominam, gdyż nikogo nic nie obchodzą.

Z nagłą, nieoczekiwaną tkliwością objął ją i zaczął tańczyć i skakać po pokoju.

— Uśmiechnijże się, malutka — zawołał, — wszystko to jest niesłychanie komiczne. Arsene Lupin — Raul d'Andrassy — czyż to nie wszystko jedno! Najważniejszą rzeczą w życiu jest odrobina szczęścia a ja je posiadam. Nie spotkałem wróżki czy cyganki, któraby mi nie przepo-

wiedziała sławy i majątku. Raul d'Andrassy, lub kto chce, Arsene Lupin, będzie ministrem, generałem, wynalazcą może. To moje powołanie, to mój los. Do tego się przygotowałem i na to czekam. Muskuły mam ze stali i głowę nie do pozłoty. Czy chcesz, abym stanął na rękach, żebym cię unióś do góry, jak piórko, czy może wolisz abym ci recytował Homera po grecku i Milтона po angielsku? Boże, jakie to życie piękne! Raul d'Andrassy... Arsène Lupin... dwa oblicza bożka Janusa. Na jedno z nich padnie promień sławy.

Umilkł nagle. Jego wesołość przysła bez śladu; uważnie obejrzał się po cichym, wytwornym buduaru, którego ciszę zamącił tak, jak zamącił spokój duszy młodego dziewczęcia, i w jednym z tych porywów, które przychodziły zupełnie nieoczekiwanie i stanowiły nieodparty jego urok — ukląkł przed Klaryssą.

— Wybacz mi, jedyna — szepnął — nie powinienem był przyjść tu i nadużyć twego zaufania. Postąpiłem źle, bardzo źle, ale nie mogłem się oprzeć... zło i dobro pociąga mnie jednakowo.

Wiem jednak, że ty, Klarysso, wskażesz mi zawsze dobrą drogę i wybaczysz moje błędy.

Klaryssa ujęła jego głowę w obie dłonie i odparła:

— Nie mam ci nic do wybaczenia, jedyny. Uczyniłeś mię szczęśliwą, ale gdybyś mi zadał cierpienie, zniosę je z radością. Masz, daruję ci moją fotografię; noś ją przy sobie i postępuj tak, abyś nie potrzebował nigdy czerwienić się, patrząc na nią. Pamiętaj, że pozostanę dla ciebie na zawsze tem, czem jestem dzisiaj: twoją ukochaną i twoją żoną. Pamiętaj, że kocham cię, Raulu!

Pocałowała go w czoło, a on, śmiejąc się znowu, powstał z kolan.

— Tym pocałunkiem pasowałaś mię na rycerza, — rzekł — wierzaj mi, iż czuję się niezwyciężonym i że potrafię zgnieść każdego przeciwnika. Czas turnieju zresztą już nadszedł.

Plan Raula, — bo tak w dalszym ciągu nazywać będziemy naszego bohatera — plan Raula był niezmiernie prosty: pośród gęstwiny drzew przywierających do okalającego zamek muru, stała niska wieżyczka. Tutaj baron załatwiał in-

teresy ze swymi dzierżawcami i tu, jak domyślał się Raul — miało się odbyć zebranie spiskowców. W jednej ze ścian wieży przebite zostało niegdyś przejście; dziś napół zasypane gruzem i porośnięte bluszczem, było ono dostatecznie długie i wysokie, aby pomieścić dorosłego mężczyznę. Stąd też postanowił Raul być świadkiem zebrania; kryjówka, jaką wybrał, była doskonałą; usunawszy nieco gruz, zasłaniający przejście, Raul doskonale widział całą salę, a żadne słowo nie mogło ujść jego uszu.

Sala, jaką miał przed sobą, była dość obszer-
ną; prócz wielkiego stołu, ławki kościelnej i dwudziestu krzeseł — nie znajdowało się w niej nic.

Godzina upłynęła blisko a Raul czekał w kryjówce i czas zaczął mu się już dłużyć, gdy drzwi prowadzące do sali otwarły się i wszedł stary baron w towarzystwie jednego ze swych przyjaciół.

Baron Godefrey d'Étigues był tęgim, musku-
larnym mężczyzną, o ceglasto czerwonej twarzy, okolonej gęstą brodą, o spojrzeniu twardem i przenikliwym. Towarzysz jego — znany Rau-

lowi z widzenia — był to jego kuzyn, Oskar de Bennetot, sprawiający wrażenie ociężałego, gburowatego, normandzkiego junkra. Obydwaj mężczyźni wydawali się bardzo podnieceni.

— Prędeż — dyrygował baron — La Beau-palien, Roleville i d'Auppagard zaraz nadejdą. O czwartej przybędzie Beaumagnan z księciem d'Arcole, a de Brie dostanie się tutaj przez ogród warzywny, którego bramę umyślnie pozostawięm otwartą. Później... później... gdy wszyscy się zbiorą, przybędzie i ona“.

— O ile wogóle wpadnie nam w ręce — mruknął Bennetot.

— Czemuby wpaść nie miała? Wszystko obmyślane jest bez zarzutu. Zamówiła karete, D'Ormont będzie woźnicą; w okolicy Quatre Chemins Rouxd. Estieres wskoczył do karety, obaj z d'Ormont'em zwiążą damę i przywiozą ją tutaj. Ten plan musi się udać.

Rozmawiający stali tuż koło kryjówki Raula.

Bennetot szepnął:

— A potem?

— Potem wyjaśnię zebrany całą sytuację

i rolę, jaką ta kobieta odgrywa w naszych sprawach.

— I myślisz, że ją osądzą?

— Tak czy inaczej sprawa się wyjaśni. Beaumagnan nalega na to. Czy można mu odmówić?

— Boże — westchnął Bennetot — ten człowiek nas zgubi.

Baron d'Etigues zmarszczył brwi z wyrazem niezadowolenia.

— Tylko podobny jemu człowiek może walczyć z taką kobietą. Czyś przygotował wszystko?

— Obie łódki są w przystani. Mniejsza jest przedziurawiona i w dziesięć minut po zepchnięciu na wodę pójdzie na dno.

— Nie zapomniałeś jej obciążyć?

— Przygotowałem spory kamień, który przywiążemy liną.

Obaj umilkli na chwilę.

Raul słyszał każde słowo tej rozmowy, a w miarę jak słuchał, ciekawość jego rosła.

— Do licha — pomyślał — nie odstąpię swego miejsca za najbogatsze królestwo. Co za przy-

jemni jegomości! Rozmawiają o morderstwie, jak o partji wista.

Zachowanie barona d'Etigues zdumiewało go najbardziej. Jak mogła delikatna, słodka Klara być córką tego człowieka? Jakie cele, jakie przychyny kierowały nim w tej brudnej sprawie? Nienawiść, okrucieństwo, zemsta, czy też pogoń za osobistą korzyścią? Raul próżno biedził się nad tem pytaniem.

Trzej nowi spiskowcy, których Raul znał również z widzenia jako stałych gości zamku, nadeszli niebawem. Najstarszy z nich, którego postawa i ruchy przypominały wojskowego, zatrzymał się w progu.

Wszyscy obecni powstali i zbliżyli się ku niemu, a Raul domyślił się, iż on to właśnie musiał być autorem owego tajemniczego listu; on też był tym oczekiwany, którego obawiał się Bennetot i którego baron nazwał Beaumagnanem.

Aczkolwiek w całym tem zebraniu on jeden nie posiadał ani tytułu ani nawet szlacheckiego nazwiska, jednak witano go z oznakami widocznego szacunku i traktowano jako przywódcę.

Z powagą, a zarazem i wielką pewnością siebie zbliżył się do przeznaczonego sobie miejsca, tłumacząc się, iż nie mógł, niestety, przyprowadzić swego przyjaciela, dr. de Brie. Pozem, zwracając się do idącego za nim w milczeniu mężczyzny przedstawił go zebrany.

— Książę d'Arcole... Wiadomo jest panom, nieprawdaż, że książę, choć nigdy dotychczas nie uczestniczył w naszych zebraniach, jednak należał zawsze do naszego grona. Z oddali współpracował z nami i to bardzo wydatnie. Dziś świadectwo jego będzie nam bardzo potrzebne, gdyż w roku 1870 książę zetknął się dwukrotnie z tą piekielnicą, która nam zagraża.

Raul poczuł się nieco rozczarowanym; „piekielnica” znająca księcia przed dwudziestu-czterema laty musiała prawdopodobnie liczyć koło pięćdziesiątki, a on miał nadzieję ujrzeć młodą, może nawet piękną kobietę.

Książę zajął miejsce, a Beaumagnan, odciągawszy na bok barona, rozpoczął z nim cichą, lecz bardzo ożywioną rozmowę. Pan d'Etigues coś najwidoczniej przekładał, lecz Beaumagnan

przerwał mu energicznym ruchem ręki. Potem odebrał odeń kopertę, zawierającą prawdopodobnie ów kompromitujący list.

— Piekielnica będzie utopioną — szepnął w duchu Raul — ten pan tak zdecydował, a dość spojrzeć nań, aby widzieć, że umie postawić na swoim.

Beaumagnan tymczasem zwrócił się do obecnych z krótką przemową.

— Przyjaciele, wiecie wszyscy, jak ważną, brzemioną w skutki jest dla nas chwila obecna. Jesteśmy wszyscy złączeni dążeniem do jednego wspólnego celu, a tem samem i wspólną pracą. Podzielamy wszyscy to przekonanie, iż dobro naszej ojczyzny, stronnictwa i religji — bo wszak te trzy pierwiastki złączone są ze sobą nierozdzielnie — dobro ich, powtarzam, zależy od powodzenia naszego planu. Ale od pewnego czasu spryt kobiety, którą tu dziś mamy sądzić, a która szuka rozwiązania tej samej co i my tajemnicy, krzyżuje wszystkie nasze plany. Ona albo my; wyboru niema, tak jak niema miejsca na świecie dla niej i dla nas. Jej powodzenie

byłoby naszą zgubą. Pamiętajmy o tem i miejmy nadzieję, że walka tak bezlitośnie zaczęta, rozstrzygnie się na naszą korzyść.

Beaumagnan usiadł. Raul dojrzał, że oparłszy łokcie na poręczach fotelu, zasłonił twarz dłońmi i pochylił swą wysoką postać tak, jak-gdyby chciał się ukryć za plecami towarzyszy.

Upływały długie chwile, nikt się nie odzywał.

Uwaga wszystkich zwrócona była na najlżejszy szmer, który dobiegał z zewnątrz; myśl ich krążyła koło tej kobiety, która niebawem miała stanąć przed nimi.

Nagle baron podniósł rękę; z szosy dobiegał rytmiczny tętent kłusującego konia.

— Kareta — szepnął ktoś.

Godefroy d'Etigues zbliżył się do drzwi. Jak zwykle ogród był pusty, gdyż służba skupiała się zawsze na wielkiem podwórzu, przy głównem wejściu do zamku.

Tętent się zbliżał, kareta zjechała z szosy w połą drogę, potem mignęła zdala w furtce wjazdowej i wjechała do parku. Woźnica dawał jakieś znaki, stary baron zawołał:

— Zwycięstwo, wiozą ją!

Konie stanęły. d'Ormont zeskoczył z kozła i wraz z baronem d'Etigues pośpieszył ku karecie skąd Roux d'Estieres wynosił szczupłą, mocno związaną postać, której głowa obwinęta była gazowym szalem. We trzech zanieśli ją do sali i posadzili na kościelnej ławce.

— Wszystko poszło jak z płatka — opowiadał d'Ormont — najspokojniej wsiadła do karety na dworcu, nie mając widocznie najlżejszych podejrzeń. Związaliśmy ją i obezwładnili, zanim zdążyła wydać jakiś dźwięk.

— Zdejmcie ten szal — komenderował baron — i rozwiążcie ją.

Niecierpliwy jak zawsze, sam rozciął sznury. Tymczasem d'Ormont odwinął szal, który zasłaniał twarz kobiety.

Uwięziona podniosła głowę — w tej samej chwili jeden ogromny okrzyk zdumienia wyrwał się z ust obecnych — kobieta, którą mieli przed sobą, jaśniała urodą i blaskiem młodości.

Książę d'Arcole, który stał w pierwszym sze-

regu, nagle cofnął się i zasłaniając twarz rękoma jęknął:

— To ona, poznaję ją... Ale Boże, jakież to potworne!

— Co to znaczy? Co jest potworne? — zapytał baron — Co chcesz księżę powiedzieć?

Zapytany zwrócił ku niemu głowę i wymówił z trudnością te zagadkowe słowa:

— Potworne... że nie zestarzała się ani o jeden dzień, ani o jedną godzinę. Jest równie młoda jak przed dwudziestu czterema laty!

Uwięziona siedziała wyprostowana, bez ruchu, z rękoma złożonemi na kolanach; kapelusz zsunął się jej z głowy, a bujne falujące włosy spływały niemal do kolan, podtrzymywane wspinałym, złożonym grzebieniem.

Pod nawałą włosów twarz jej wydała się Raulowi niezwykle piękną: było w niej coś tajemniczego i coś pociągającego nieprzeparcie, jakiś uśmiech niedostrzegalny, a jednak wyczuwalny, uśmiech, który przypominał portrety Leonarda da Vinci i Bernardina Luini, a którego nie zdołało wypłoszyć nawet przerażenie. Strój

jej był bardzo prosty; z pod poszarpanego, podróżnego płaszcza wyglądała szara, skromna suknia.

— Ta piekielnica — pomyślał Raul, który nie spuszczał z niej oka — ta piekielnica jest doprawdy czarująca i wygląda jak uosobiona niewinność. Czyż doprawdy aż dziesięciu mężczyzn musiało się zebrać, aby pokonać, aby zgłębić jedną kobietę?

Spostrzegł, iż uwięziona rozgląda się uważnie po sali, przypatrując się zarazem ukradkiem baronowi i jego przyjaciółom, a przede wszystkim tym z pomiędzy nich, którzy starali się ukryć w cieniu.

Wreszcie zapytała:

— Co to wszystko znaczy? Czego panowie chcecie ode mnie? W niczem wam nie zawiniłam i nawet nie znam żadnego z was.

— Jesteś pani naszym najgorszym wrogiem, odparł jej d'Etigues.

Wstrząsnęła głową i odparła z zupełnym spokojem:

— To jakieś nieporozumienie... pan mnie bie-

rze za kogo innego. Nazwisko moje jest Pellegrini.

— To nieprawda — zaprzeczył baron.

— Zapewniam pana...

— *Nieprawda* — powtórzył dobitnie.

I zwracając się do obecnych wymówił z całą powagą słowa, które zabrzmiały dziwniej jeszcze, niż uwaga księcia d'Arcole:

— Pellegrini, to jedno z wielu imion, pod jakimi ukrywał się w XVIII wieku człowiek, którego córką ta pani się mianuje...

Nie odpowiedziała odrazu, była jakby oszłamiona tem co usłyszała, a czego zdawała się nie rozumieć. Wreszcie zagadnęła:

— Jakie jest według pana moje istotne nazwisko?

— Józefina Balsamo, hrabina Cagliostro.

Józefina Balsamo, urodzona w 1788 roku.

Cagliostro! Imię człowieka, który, jak nierozwiązana zagadka, zajął sobą całą Europę, i zeszedł z areny świata w sposób również tajemniczy, jak się na niej pojawił: Cagliostro...

dwór Ludwika XVI... naszyjnik królowej... kardynał de Rohan... Marja Antonina...

Szarlatan czy genjusz? Kim był ten człowiek, dla którego przyszłość ni przeszłość nie miała tajemnic, którego wiedza zwyciężała śmierć, a wola kierowała wypadkami? Nadnaturalną była jego potęga czy tylko niezrozumiałość?

Raul d'Andrassy, młodzieniec trzeźwy, uśmiechnął się sceptycznie na te słowa barona; wszakże zebrani w sali wysłuchali ich bez zdziwienia, tak, jakgdyby byli przekonani, że kobieta, którą mieli przed sobą, była istotnie córką wielkiego maga, dziedziczką jego daru jasnowidzenia, a przez to jego potęgi.

Godefroy d'Etigues nachylił się do niej i spytał:

— Nieprawdaż, przyznajesz pani, że imię twoje jest Cagliostro?

Milczała, zdawała się namyślać nad odpowiedzią, tak jakgdyby chciała przeniknąć zamiary przeciwnika i tem skuteczniej się bronić. W końcu rzekła:

— Nie mam obowiązku tłumaczyć się panom,

tak jak panowie nie macie najmniejszego prawa aby mię pytać. Niemniej jednak przyznając, że aczkolwiek w metryce mojej figuruje nazwisko Pellegrini, to jednak naprawdę nazywam się Józefina Balsamo, hrabina Cagliostro, a to dlatego, że oba te imiona — Pellegrini i Cagliostro — należały do tej samej, a mnie bardzo bliskiej osoby, do Józefa Balsamo.

— Czy jednak — zagadnął baron — zgodnie z tem, co pani sama opowiadałaś o sobie, pochodzisz pani w prostej linii od niego?

Tym razem nie odpowiedziała. Był to może protest, a może zwykła ostrożność, dość, że zmarszczyła brwi i odwróciła głowę.

— Może pani zachować milczenie — rzekł niechętnie baron — nie będziemy go sobie ani tak ani inaczej tłumaczyli, — poczem zwracając się do swych przyjaciół, ciągnął dalej — zeznania tej kobiety nie mają dla nas najmniejszego znaczenia. Zebraliśmy się tutaj, aby ją osądzić i choć znamy wszyscy w zarysach całą sprawę, jednak zatrzymam się nieco nad szczegółami, które nie wszystkim są dokładnie znane. Pozwólcie zatem,

moi przyjaciele, abym wam przeczytał krótkie memorandum przygotowane na dzisiejsze zebranie.

Z temi słowy wyjął z kieszeni plik papierów, i począł powoli odczytywać owe memorandum, ułożone — jak sądził Raul — przez Beaumagnan'a.

„W marcu r. 1870, czyli na cztery miesiące przed wybuchem wojny prusko-francuskiej, jedną z najelegantszych, a pozornie najpopularniejszą osobą w towarzystwie paryskim, była hrabina Cagliostro. Niezwykle piękna, wytworna, bywała wszędzie sama, lub też w towarzystwie młodego człowieka, który, jak twierdziła, był jej bratem. Jej sposób życia, rozrzutność, a wreszcie nazwisko jakie nosiła, zwracało na nią powszechną uwagę. Zdawała się zresztą rozmyślnie podniecać ciekawość przez pewne półsłówka, przez swe zachowanie, przez kilka cudownie udanych kuracyj. Było to w okresie gdy dzięki romansowi Dumas'a, „Józef Balsamo“, legendarna postać hrabiego Cagliostro, zajmowała umysły wszystkich. Pół serjo, pół żartem hra-

bina wspomniała, iż jest córką Cagliostro, iż odziedziczyła po nim sekret wiecznej młodości, i opowiadała nieraz o przygodach swoich za czasów Napoleona Wielkiego.

Dzięki sprytowi swojemu, a poniekąd i majątkowi, bywała na dworze cesarza Napoleona III; opowiadano nawet o fajnych zebraniach, na których cesarzowa Eugenia była jedną z najstalszych i najbardziej zapalonych uczestniczek. W numerze jednego z pism satyrycznych (naturalnie natychmiast skonfiskowanym) znajduje się opis takiego zebrania. Przytaczam jego urywek:

... Podobna była do Giocondy.

Twarz jej nie była ani ruchliwą ani zmienną, a jednak miała wyraz nieuchwytny. Perwersyjny a obojętny, okrutny a łagodny. Jest tyle goryczy w jej uśmiechu, tyle doświadczenia w jej spojrzeniu, że chwilami ma się ochotę wierzyć w te 80 lat, do których się sama przyznaje. Od czasu do czasu wyciąga z kieszeni malutkie, złoczone lustreczko, nalewa na jego taflę dwie kropelki z minjaturowego flakonika, który nosi zaw-

sze przy sobie, poczem wyciera lusterko i długą chwilę przegląda się w niem. W miarę jak patrzy, młodość coraz żywszym blaskiem bije z jej postaci.

Kiedyś, zagadnięta, w te słowa opowiedziała nam historję swego lusterka:

— Było ono własnością hr. Cagliostro. Dla ludzi, którzy spoglądają weń ze ślepą wiarą, czas zatrzymuje swój bieg. Na ramce lusterka wryta jest data, r. 1783 a pod nią znajdują się słowa czterech zagadek. Tych słynnych zagadek Cagliostrowa, które słyssał z ust Marji Antoniny, a które przez całe życie pragnął rozwiązać, legenda bowiem twierdzi, że ten, komu się to uda, będzie panem wszechświata.

— Czy można usłyszeć te zagadki? — spytał ktoś z obecnych.

— Oczywiście. Słyszeć nie znaczy bynajmniej rozumieć. Sam wielki Cagliostro nie zdołał, czy nie zdążył tego uczynić. Powiem je panom tak, jak są tu napisane, t. j. w skróceniu:

In robore fortuna.

Kafle królów Czeskich.

Bogactwo królów Francji.

Siedmioramienny świecznik. *)

Później rozmawiała z każdym z nas i czyniła zdumiewające przepowiednie. Wszystko to jednak było zaledwie wstępem, do znacznie poważniejszej sceny, cesarzowa bowiem, która nie chciała postawić żadnego osobistego pytania, zdecydowała się zagadnąć jasnovidzącą w sprawach publicznej wagi.

Hrabina podała jej swoje lusterko, prosząc, aby Naj. Pani zechciała łaskawie dmuchnąć na nie. A gdy cesarzowa spełniła jej prośbę, spojrzała na zamgloną taflę i wykrzyknęła:

— Widzę cudne rzeczy!... Wielką wojnę w lecie bieżącego roku... olśniewające zwycięstwo... wspaniały przemarsz pod Łukiem Zwycięstwa... witają cesarza... księcia następcę!...

— Oto jak brzmi — ciągnął Godefroy d'Etiques — dostarcza on nam dokument. Jest on tem

*) Pierwszą z tych zagadek rozwiązała młoda dziewczyna (patrz tegoż autora „Dorota — tancerka“). Dwie następne Arsen Lupin („Wyspa umarłych“ i „Wydrążona igła“ tegoż autora). Ostatnia stanowi treść powieści niemiejszej.

ciekawszy, że datuje na parę miesięcy przed wojną. Kim była ta kobieta, ta awanturnica, której przepowiednie musiały wywrzeć niemały wpływ na chwiejny umysł cesarzowej Eugenji, i przyczyniły się tem samem do katastrofy z roku 1870? — Aby rozstrzygnąć to pytanie odwołajmy się do tego samego numeru „Charivari”.

...zagadnięta kiedyś o swą matkę, hrabina odpowiedziała w następujący sposób: — Matka moja należała do najciekawszych, najbardziej znanych kobiet swojego stulecia. Była nią Józefina Beauharnais, żona Bonapartego, cesarzowa Francji.

Policja Napoleona III zainteresowała się osobą hrabiny. Urzędnik, któremu powierzono tę sprawę, złożył swym zwierzchnikom z końcem czerwca następujący raport:

„Włoski paszport rzeczonyj damy, opiewa na nazwisko Józefiny Pellegrini — Balsamo, hrabiny Cagliostro, urodzonej w Palermo, dnia 29 lipca 1788 r. Istotnie księgi metrykalne miasta Palermo notują pod tą datą narodziny Józefiny

Balsamo, córki Józefa Balsamo i Józefiny de P. poddanej króla francuskiego.

Czy inicjały te oznaczały istotnie Józefinę Tascher de la Pagerie, rozwiedzioną żonę wicehrabiego de Beauharnais i późniejszą małżonkę generała Bonapartego? Faktu tego nie udało się z całą pewnością ustalić, jednak dzięki usilnym poszukiwaniom w tym kierunku, natrafiono na list jednego z urzędników prefektury paryskiej, skąd dowiedziano się, iż w r. 1788 policja poszukiwała niejakiego Cagliostro. Człowiek ten, wmieszany w głośną sprawę naszyjnika, otrzymał rozkaz opuszczenia Francji; mimo to pod imieniem Pellegrini, ukrywał się przez niejaki czas w drugorzędnym hotelu w Fontainebleau, gdzie go codzień odwiedzała jakaś wysoka i smukła dama. Józefina Beauharnais mieszkała wówczas w Fontainebleau; była smukłą i wysoką. Cagliostro znikł bez śladu tego samego dnia, w którym policja, wykrywszy jego kryjówkę, miała go aresztować. Józefina Beauharnais opuściła Fontainebleau dnia następnego. W mie-

siąc później Józefina Balsamo przyszła na świat w Palermo.

Dla uzupełnienia tych poszczególnych faktów dodajemy jeszcze, że w osiemnaście lat później cesarzowa Józefina wprowadziła do Malmaison młodą pannę, swoją rzekomo chrześniaczkę, której imię było Józefina, lub w skróceniu Jozyna.

Po upadku pierwszego cesarstwa Aleksander I. zainteresował się ową Jozyną i zabrał ją do Rosji. Występowała ona tam jako hrabina Cagliostro!

Baron Godefroy skończył i starannie złożył papiery. Wśród zebranych, którzy go słuchali z natężoną uwagą, zapanowało długie milczenie, a Raul, zupełnie oszołomiony wszystkim co widział i słyszał, starał się odszukać na twarzy hrabiny śladów podniecenia lub przest్రachu. Na próżno jednak: młoda kobieta była zupełnie spokojną, a piękne jej oczy błyszczały wesołością.

Baron jednak nie skończył; obrzuciwszy zebranych bystrem spojrzeniem po chwili tak ciągnął dalej:

— Przytoczony tu raport, a także niepożądany wpływ, jaki hrabina wywierała u dworu, miał dla niej skutki fatalne. Oboje z bratem otrzymali rozkaz opuszczenia Francji; on wyjechał do Niemiec, a ona do Włoch. I oto pewnego poranka wysiadła z pociągu, na małej stacji Modana, w towarzystwie oficera, który ją eskortował. Oficerem tym był książę d'Arcole. On to dostarczył nam obu czytanych przed chwilą dokumentów: numer „Charivari” wraz z kopją raportu, którego oryginał znajduje się w jego posiadaniu. On to również przed chwilą stwierdził głośno tożsamość osoby, którą mamy przed sobą z ową hrabiną Cagliostro.

Książę d'Arcole powstał i oświadczył:

— Nie wierzę w żadne cuda. A jednak jestem dziś świadkiem niemal cudu. Na mój honor żołnierski zeznaję bowiem raz jeszcze, że tu obecna kobieta jest tą samą, z którą rozstałem się na dworcu w Modana przed dwudziestu czterema laty.

— Z którą się pan rozstał tak poprostu, bez

żadnych komentarzy? — spytała nagle Józefina Balsamo.

W wesołym jej głosie drżała jakaś nuta ironji, która stropiła księcia.

— Co pani chce przez to powiedzieć? — zagadnął.

— Chcę poprostu powiedzieć, iż oficer francuski jest zbyt eleganckim, aby mógł się rozstać z młodą, przystojną kobietą bez jednego cieplejszego słowa.

— Być może — mruknął sucho książę — w każdym razie nie pamiętam.

— Nie przypomina pan sobie wcale, że ucałował pan rękę wygnanki nieco dłużej, niżli tego wymagała etykieta i że powiedział pan na pożegnanie: Mam nadzieję, droga hrabino, że to spotkanie nasze nie jest ostatniem. Niech pani sobie pozwoli powiedzieć, że zachowam zawsze w pamięci te, niestety zbyt krótkie chwile, które dałem mi było spędzić z nią razem" i pochylając się ku niej, powtórzył pan raz jeszcze: Nie zapomnę ich nigdy, przenigdy.

Zdumiony dosłownym opisem sceny, która

miała miejsce przed ćwierćwieczem, księżę wykrzyknął mimowoli:

— Wielki Boże! — ale odzyskując natychmiast panowanie nad sobą, odparł zimno:

— Nie pamiętam nic z tego, łaskawa pani, w każdym razie pozwolę sobie zauważyć, że jeśli nawet wspomnienia wspólnej naszej podróży były dla mnie tak miłe, to nasze drugie spotkanie zatarło w zupełności to wrażenie.

— A drugie to spotkanie miało miejsce?

— Podczas pertraktacyj pokojowych, łaskawa pani, w początkach roku następnego, w Wersalu, dokąd się udałem jako jeden z członków delegacji francuskiej. Spotkałem panią w jakiejś kawiarni w towarzystwie jednego z adjutantów Bismarka. Śmiała się pani do niego i rozmawiała z nim poufale. Zrozumiałem wówczas, jaką rolę odgrywała pani swego czasu na dworze francuskim i z czyjzego polecenia czyniła to pani.

Cała ta scena, rozwijająca się z ogromną szybkością, nie trwała dłużej nad dziesięć minut. Nie przytoczono żadnych rzeczowych dowodów i nie spytano jeszcze oskarżonej, co ma na swoje

usprawiedliwienie; operowano dotychczas gołemi faktami, które wydawały się tembardziej bezpodstawne, że przypomniano kobiecie zupełnie młodej wypadki zaszłe przeszło sto lat temu.

Raul d'Andrassy zaledwie wierzył swym uszom i oczom; to, czego był świadkiem, wydało mu się niemal wytworem chorobliwej jakiejs fantazji, baron i jego przyjaciele przesuwali się przed nim, jako widma, lub jak ludzie, pozbawieni zmysłów. Nie rozumiał przedewszystkiem, jak mogli tak się mylić co do wieku uwięzionej kobiety. Czyżby, nie mieli oczu?

Ale zachowanie hrabiny Cagliostro wydało mu się jeszcze dziwniejszem; co miało znaczyć to milczenie, lub słowa, które były poniekąd potwierdzeniem stawianych jej zarzutów?

Godefroy d'Etigues znów zabrał głos.

— Taką była przeszłość — rzekł — nie będę się dłużej zatrzymywał nad historją tych dwudziestu czterech lat, które dzielą rok 1870 od dnia dzisiejszego, wspomnę tylko, że za kulisami każdej głośnej sprawy znajdowała się zawsze ona, hrabina Cagliostro. Brała udział w ruchu

boulangiste'ów, i w panamskiej malwersacji; była wszędzie tam, gdzie knuło się coś brudnego, lub coś szkodliwego dla naszej ojczyzny. Mógłbym przytoczyć tu niejednen przykład, ponieważ jednak nie posiadam rzeczowych dowodów, wolę więc przejść odrazu do chwili obecnej. Przedtem jednak zapytuję panią, czy może pani zaprzeczyć czemukolwiek z tego, co tu zostało powiedzianem?

— Owszem, mój panie.

— A więc słuchamy.

Młoda kobieta zwróciła się do zebranych, przemawiając zawsze tym samym, spokojnym, zlekka drwiącym tonem:

— Ponieważ panowie, jak się zdaje czynią tu nademną jakiś średniowieczny sąd, chciałybym się więc dowiedzieć, jakie znaczenie przypisujecie panowie zarzuconym mi winom? Według bowiem pojęć średniowiecznych jestem kacerką, czarownicą a w dodatku szpiegiem. Powinnabym być spaloną żywcem na stosie. Proszę mi więc wybaczyć moją ciekawość i objaśnić łaskawie, co za los mnie czeka za moje przestępstwa?

— Myli się pani — odparł baron d'Etigues z niczem niezamąconą powagą — myli się pani; o przestępstwach nie było jeszcze mowy. To wszystko, co było powiedzianem dotychczas, miało jedynie na celu rzucenie pewnego światła na osobę pani, dania pojęcia tu zebranych, kim i czem pani jest.

— I sądzi pan, że to się panu udało?

— Z mojego punktu widzenia — tak.

— Pański punkt widzenia musi być bardzo skromny. Jakiż pozytywny rezultat osiągnął pan swoją, nieco długą przemową?

— Rezultat potrójny, szanowna pani. Przede wszystkim świadectwo osób, które panią poznały, świadectwo przenoszące (wybaczy pani) datę urodzin pani w czasy nieco odległe. Wreszcie pani własne zeznania.

— Moje zeznania?

— Przed chwilą przytoczyła pani księciu Arcole słowa, które wypowiedział do niej na stacji w Modana w roku 1870.

— Istotnie, ma pan słuszność. Cóż dalej?

— Dalej oto trzy podobizny pani, niepraw-

daż? — i przy tych słowach podał jej trzy portrety.

Hrabina rzuciła na nie okiem i oświadczyła krótko:

— Tak jest, prawda.

— Ciesz się, mię, że pani to przyznaje, ciągnął d'Etigues — otóż muszę pani zakomunikować, że pierwszy z tych portretów, to minjatura Jozyny Cagliostro, malowana w Moskwie w roku 1816, drugi — dagerotyp hrabiny Cagliostro z roku 1870, a ostatni — fotografia pani, zrobiona niedawno w Paryżu. Wszędzie nawet ten sam podpis, ten sam charakter pisma.

— Ale czegoż to dowodzi?

— Dowodzi, że ta sama kobieta...

— Że ta sama kobieta — przerwała hrabina — potrafiła zachować w r. 1894 i w 1870 świeżość i urodę jaką posiadała w 1816. Istotnie, co za straszne przestępstwo!

— Niech się pani nie śmieje, łaskawa pani, śmiech w naszym towarzystwie nie jest rzeczą zdrową.

Przestała się śmiać, spoważniała nagle i jak-

by tracąc dotychczasowy swój spokój, uderzyła ręką o poręcz ławki.

— Dosyć tej komedji — rzekła — chcę wiedzieć nareszcie, jakim prawem ściągnęliście mnie tutaj? I czego chcecie odemnie?

— Chcemy ukarać panią za popełnione zbrodnie.

— Jakie zbrodnie?

Godefrey d'Etigues spojrział na przyjaciół, a potem przeniósł wzrok na oskarżoną.

— Niedawno jeszcze — rzekł — było nas dwunastu. Dwunastu towarzyszy dążących do jednego celu. Dziś pozostało nas dziewięciu. Ubyło trzech z pośród nas — i tych trzech pani zabiła.

Cień jakiś, jak przelotna chmura, przesłonił na chwilę uśmiech Giocondy. Ale prawie natychmiast twarz jej przybrała zwykły, napół obojętny a napół drwiący wyraz. Zdawało się, że nawet to ohydne obwinienie nie mogło jej dosięgnąć; może uczucie gniewu lub oburzenia było jej obce, a może umiała tak panować nad sobą, by się nie zdradzić najlżejszem drgnieniem powiek.

Przyjaciele barona nie odzywali się ani jednym słowem; twarze ich były zimne, jakby skamieniałe. W najciemniejszym kącie, ukryty za ich plecami, niedostrzegalny dla oskarżonej, siedział Beaumagnan. Łokcie miał oparte na poręczy krzesła, a twarz ukrytą w dłoniach, ale pomiędzy palcami tych dłoni jak dwa płomienie błyszcząły jego oczy, utkwione w twarzy hrabiny.

Baron d'Etigues odczytał trzy punkty straszego obwinienia.

„Przed półtora rokiem zginął tragiczną śmiercią przyjaciel nasz, Denis de Saint Hébert; przybywał on podówczas w dobrach swych, w okolicach Hawru; pewnego popołudnia udał się na polowanie w towarzystwie swego plenipotenty i jednego z dzierżawców; po jakimś czasie rozstał się z nimi, aby wspiąć się na wysoką i stromą skałę, skąd, jak twierdził, chciał podziwiać zachód słońca. Nie wrócił do domu ani wieczorem, ani w nocy. Następnego ranka znaleziono jego trupa u stóp skały. Śmierć jego przypisano nieszczęśliwemu przypadkowi; ani chwili

bowiem nie podejrzewano nikogo o morderstwo, a nie było podstaw sądzić, że St. Hébert popełnił samobójstwo: był to człowiek zdrowy, bogaty i usposobienia niezwykle wesołego.

W parę miesięcy później zginął w podobny sposób drugi z pośród nas: Jerzy, d'Iseval. Polując na mewy w okolicach Dieppe, poślizgnął się o mokre skały, padł i rostrzaskał sobie czaszkę. Pozostawił żonę i dwoje dzieci.

I to nieszczęście złożono na karb wypadku. Uwierzyła w to wdowa, sieroty i rodzina, myśmy jednak uwierzyć nie mogli. Los, który z dwunastu przyjaciół, złączonych posiadaniem wielkiej tajemnicy i dążeniem do wspólnego celu, — zabiera w krótkim czasie dwóch, — los taki jest zbyt wyrachowanym i nie może być ślepy.

Książę d'Arcole otworzył nam oczy; domyślał się, że nie tylko my wyłącznie jesteśmy w posiadaniu wielkiej tajemnicy. Ongis, na posiedzeniach u cesarzowej Eugenji, ułożono listę czterech zagadek, które pozostawił swym następcom Cagliostro. Jedna z nich, a mianowicie zagadka o siedmioramiennym świeczniku intereso-

wała prócz nas i inne jeszcze osoby. Pomędzy niemi, jak trafnie rozumował ksiązę d'Arcole, zalecił szukać sprawców nieszczęścia.

Rozpoczęliśmy więc usilne poszukiwania, które niebawem uwieńczyły się pomyślnym skutkiem. Dowiedzieliśmy się, iż na jednej z ulic Paryża, zamieszkuje niejaka pani Pellegrini. Jest to kobieta piękna i młoda, która mimo to jednak prowadzi życie nader odosobnione. Wśród zwolenników okultyzmu i magji znana jest dobrze pod nazwiskiem hrabiny Cagliostro. Zdaje się, że nie posiada żadnej rodziny; nieraz na długo znika z Paryża.

Udało nam się zdobyć jej fotografię. Fotografię tę posłaliśmy księciu d'Arcole, bawiącemu wówczas w Hiszpanji, a on ze zdumieniem rozpoznał z niej ową podejrzaną damę z r. 1870.

Bliższe śledztwo wykazało, iż w dniu śmierci Saint-Hébert'a owa pani Pellegrini znajdowała się w pobliżu Hawru; gdy zginął Iseval, bawiła w Dieppe.

Wybadałem rodziny zmarłych. Żona Iseval'a zwierzyła mi się, iż mąż jej miał w ostatnich mie-

siącach swego życia romans z jakąś kobietą, której wpływom bardzo ulegał. Stosunek ten, jak twierdziła, ogromnie go przygnębiał. Z papierów, które zostały po Saint-Hébert'cie, przekonałem się, że prowadził on rodzaj pamiętnika, w którym miał nieostrożność opisywać nasze zebra-
nia. Notatki te zostały mu skradzione przez jakąś kobietę.

Dzięki tym odkryciom sprawa ta stała się dla nas jasną. Tajemnicza mieszkanka Paryża, członkini związków okultystycznych, pani Pellegrini, czy też hrabina Cagliostro, posiadłszy, jako kochanka Saint-Hébert'a, część naszej tajemnicy, potrafiła pozyskać miłość d'Isevala, a potem, lekając się, by któryś z nich, nie zdradził jej przed nami, — pozbawiła życia obydwu. Ta kobieta, ta morderczyni, — stoi dzisiaj przed wami.

Godefrey d'Etigues znów umilkł i znów wrażenie wywołane jego słowami było tak wielkie, że nikt nie przerywał ciszy. Twarze zebranych sędziów zdawały się jakby zastygłe w wyrazie zimnej zawziętości; wśród nich wszystkich tylko hrabina Cagliostro zachowała swój obojętny spo-

kój, tak, jakby nic z tego, co zostało powiedzianem, nie doszło jej uszu.

Ze swej kryjówki Raul d'Andrassy podziwiał urodę i zimną krew młodej kobiety. A jednak zarzucano jej ciężkie przewiny; w oczach swych wrogów, w których władzy znajdowała się cała kowicie, mogła czytać jasno, że wyrok na nią nie będzie łaskawy.

Baron d'Etigues znów zabrał głos.

— Czy mam mówić i o trzecim pani przestępstwie? — zapytał.

— Jak pan sobie życzy — odparła, głosem napół znudzonym a napół zmęczonym — jedno więcej, jedno mniej... wszak i tak mówi pan ciągle o osobach, których nie znam, o rzeczach, których nie rozumiem.

— Więc nie znała pani ani Iseval'a, ani Saint-Hebert'a?

Zmarszczyła zlekka brwi, nie dając żadnej odpowiedzi.

Wówczas Godefrey d'Etigues nachylił się ku niej i spytał półgłosem:

— A Beaumagnan? Czy i jego pani nie znała?

Powieki jej zlekka drgnęły; spytała machinalnie:

— Beaumagnan?

— Tak, Beaumagnan, trzeci z pośród nas, którego pani zabiła... niedawno, łaskawa pani, niechże sobie pani przypomni.., zupełnie niedawno. Został otruty przed kilku tygodniami”.

SĄD INKWIZYCJI.

Nie rozumiejąc, coby mogło oznaczać to nowe obwinienie, Raul spojrzął w stronę Beaumagnan'a. Nie siedział on już z twarzą ukrytą w dłoniach, lecz powstawszy, napół zgarbiony, by tem łatwiej się ukryć, przekradał się za plecami swych towarzyszy, ku Józefinie Balsamo. Ta zaś, zajęta słowami barona, nie uważała, co się wokół niej działo.

Raul natomiast zrozumiał odrazu jaką straszną pułapkę zgotowano młodej kobiecie i całą siłą musiał panować nad sobą, by jej nie ostrzec jakimś okrzykiem lub znakiem; jeżeli bowiem istotnie miała zamiar otruć Beaumagnan'a, jeżeli sądziła, że zamiar ten się jej powiódł — jakież okropne czekało ją wrażenie na widok ofiary żywej, stojącej przed nią.

— Jeżeli się nie przerazi — myślał Raul — będzie to dowodem, iż jest niewinną — i czuł, iż zainteresowanie jego hrabiną Cagliostro rośnie z każdą chwilą.

Tymczasem baron prowadził dalej swoje śledztwo:

— Więc wypiera się pani i tego przestępstwa? Uważa pani zarzuty moje za niesłuszne? — pytał.

Zmarszczyła brwi po raz drugi, tym razem z lekkim wyrazem zniecierpliwienia.

— Nie znała pani Beaumagnan'a — wypytywał baron coraz natarczywiej — proszę, niechże mi pani coś odpowie. Niech nas pani zaszczyci jakimkolwiek słowem.

Nie odpowiedziała, ale jakiś niepokój odbił się w jej olimpijskim, niemal wesołym dotychczas uśmiechu. Jak osaczone zwierzę, które czuje, że ostatnia jego chwila się zbliża, poczęła rozglądać się wokół.

Spojrzenie jej pobiegło od Godfrey'a d'Etigues ku panu de ta Beaupaliere: od niego do

Oskara Bennetot, aż wreszcie zatrzymało się na Beaumagnan'ie.

Twarz jej zbladła i skurczyła się, jakby na widok widma, wyciągnęła ręce przed siebie, jakby do obrony i szepnęła:

„Beaumagnan!...”

Zdawało się, że ulegnie, że padnie na kolana przed tymi ludźmi, którzy mianowali się jej sędziami, i wyznając swoje przewinienia, błagać będzie łaski. Beaumagnan czekał na to: wyprostowany, z zaciśniętymi pięściami, wpatrywał się w nią pałającym z gniewu wzrokiem, tak jakby chciał tem spojrzeniem pozbawić ją resztki sił, złamać i upokorzyć.

Ale nie było to łatwe zadanie. Przestrasch Józefiny Balsamo nie trwał dłużej nad kilkanaście sekund. Twarz jej przybrała znów dawny swój uśmiechnięty wyraz; zupełnie naturalnym, niemal radosnym głosem, postawiła pytanie, którego logika i spokój mimowoli trafiały do przekonania:

— Jakże mnie pan przestraszył, panie Beaumagnan! Czytałam w gazetach o pańskiej na-

głej śmierci. Ale czemu to przyjaciele pańscy chcieli mnie zwieść?

Raul zrozumiał w tej chwili, iż to, co się działo dotychczas, było zaledwie nic nie znaczącym prologiem, że wielka, prawdziwa, nieubłagana walka zacznie się dopiero teraz, gdy dwaj przeciwnicy, dwaj zacięci wrogowie znaleźli się przed sobą.

Beaumagnan rozpoczął atak; dalekie od chłodnego spokoju, od gryzącej ironji barona słowa jego płynęły jak potok lawy, wezbrane nienawiścią i wściekłością.

— Kłamstwo! — wołał — kobieta ta żyje kłamstwem, oddycha niem, sieje wokół siebie zbrodnie i przewrotność! Ileż brudu, mętów i okrucieństwa kryje się za tym jej wiecznym uśmiechem. Gadzina, żmija, tchnąca jadem.

Było coś dzikiego, coś średniowiecznego w tym jego ataku; coś z mnicha, znęcającego się nad ofiarą, którą za chwilę ma posłać na stos. Głos jego chrypiał ze wzburzenia, ruchy były gwałtowne, cała twarz płonęła.

— Niech się pan uspokoï, panie Beauma-

gnan! — zwróciła się doń hrabina z łagodnością, która zakrawała niemal na obelgę.

Widać było, że starał się zapanować nad sobą; przez chwilę umilkł, jakby chcąc zdusić dławiącą go wściekłość, mimo to jednak, gdy mówił znów zaczął, słowa tak żywo, tak gwałtownie wyrывały się z jego ust, że zebrani z trudnością zrozumieć mogli treść spowiedzi, z którą zwrócił się do nich.

— I ja po śmierci Iseval'a czyniłem poszukiwania. Czułem instynktownie, że nie skończy się na tych dwu ofiarach... i zarazem zdawałem sobie sprawę, że na mnie to, zwróci się złość tej czarownicy. Wszak znać musiała wszystkie moje zamierzenia... niemal moje myśli... Było to w czasie, gdy nosiłem się z zamiarem przywdziania szat kapłańskich. Byłem więc opancerzony przeciw złemu, broniony mocą wiary. Umyśliłem jednej nocy udać się na zebranie spirytystów, w nadziei spotkania tam tej piekielnicy.

Nie myliłem się. Była tam istotnie. I przysięgam na wszystko, co jest świętem, iż nikt nie potrzebował mi jej wskazać. Wiedziony przeczu-

ciem czy instynktem odgadłem natychmiast, że to ona. Obserwowałem ją. Nie rozmawiała prawie z nikim, przysłuchując się i przyglądając wszystkiemu i paląc bezustannie papierosy. Przyjaciel, który mnie wprowadził, usiadł obok niej i rozpoczął rozmowę z tymi, co ją otaczali. Po chwili, tak jakieśmy się umówili, zwrócił się do mnie i głośno zawołał mnie po imieniu. Ujrzałem wówczas, jak oczy jej zabłyśły. Imię moje znać musiała, czytała je w pamiętniku Saint-Héberta, słyszała może z ust Iseval'a. Byłem wtajemniczonym, jednym z pozostałych dziesięciu. Po paru chwilach zwróciła się do mnie i rozpoczęła rozmowę. Mówiliśmy przez dwie godziny. Dwie godziny, przyjaciele, czarowała mnie całą potęgą swej urody, swego dowcipu i wymogła na mnie obietnicę, że odwiedzę ją nazajutrz. W chwili gdy jej to obiecałem, w momencie gdy przestępowałem próg jej domu, powinienem był ratować się, uciec od niej na drugą choćby półkulę. Ale już było zapóźno. Nie miałem sił, aby się bronić. Łudziłem się oczywiście sam przed sobą. Wmawiałem sobie, że spełniam obo-

wiązek, iż daję dowód odwagi, zapuszczając się aż do obozu wroga. W rzeczywistości jednak z chwilą gdy do niej przemówił byłem przekonany o jej niewinności. Jej uśmiech, jej uroda zdawały mi się obrazem czystej i pięknej duszy. Nie powstrzymało mnie ani wspomnienie naszych dwóch zmarłych przyjaciół, ani wiara, ani powołanie. Nie chciałem nic wiedzieć, nie mogłem myśleć. Przez kilka miesięcy oddawałem się bez wstydu zakazanym radościom, wyuzdanym rozkoszom.

Byłem człowiekiem silnym, oddanym i wierzącym. W objęciach tej kobiety zapomniałem o swoim celu, porzuciłem obowiązki i zaparłem się wiary. Popełniłem jednak coś gorszego jeszcze, coś, do czego z największym wstydem dziś przed wami muszę się przyznać: zdradziłem was i siebie, złamałem przysięgę milczenia, którąśmy wszyscy złożyli. *Kobieta, którą macie przed sobą, posiadała odemnie całą naszą tajemnicę.*

Szmer oburzenia i zdumienia przebiegł po zebranych. Beaumagnan spuścił głowę.

Teraz zrozumiał Raul cały dramat, jaki rozgrywał się przed jego oczyma. Ludzie ci stanowili ściśle bractwo, bractwo, którego Beaumagnan był duchem. Miał on w sobie coś z proroka, coś z fanatyka, który porywa za sobą, bez względu na to, czy tworzy czy burzy. W XV. wieku byłby inkwizytorem; mógłby bez żalu, bez wahania posłać na stos, lub skazywać na ćwiartowanie. W XII. porzuciłby swój zamek i z radością udałby się w pochód krzyżowy, dziś kierował tą drobną grupą swych przyjaciół; narzucił im swoje myśli i plany, skłonił ich do uroczystej przysięgi, — wszystko, aby zapewnić powodzenie dziełu, które sam zdradził i zniszczył.

Musiał to być człowiek ambitny a nawet próżny, przyzwyczajony dążyć bezwzględnie do swego celu. Zatrzymany na swej drodze przez kobietę i to kobietę, którą kochał, postanowił, że musi ona umrzeć, a sam otwartem wyznaniem swych win, zmniejszył poniekąd ich ciężar.

Wyznaniem tem jakgdyby uspokojony, ciągnął dalej bez poprzedniej wściekłości i już znacznie wolniej:

— Nie umiem powiedzieć, co było przyczyną mojego upadku. Nie byłem bowiem nigdy człowiekiem słabym a tu nie mogę nawet przytoczyć na wytłomaczenie, aby kobieta ta wypytywała mnie o co. Przeciwnie, ja sam wyznałem jej słowo po słowie, wszystko to, czegośmy strzegli tak zazdrośnie. Nie rozumiem także, czemu to uczyniłem i chciałem widzieć w jej oczach błysk zadowolenia, łudziłem się, że stanę się jej droższym. Jak szaleniec wmawiałem sobie, że będzie ona naszą sojuzniczką, że jej dar jasnowidzenia, potęga jej umysłu, będzie dla nas niełada nabytkiem.

Im głębszy był sen, tem przykrzejszem było przebudzenie. Nastąpiło ono nagle, mniej więcej trzy tygodnie temu. Wybierałem się wówczas do Hiszpanji. Ponieważ w dzień wyjazdu byłem bardzo zajęty, pożegnałem się więc z moją kochanką rano, a popołudniu, złożywszy walizki, wyszedłem jeszcze z domu, dokąd miałem zamiar powrócić dopiero przed wieczorem, na krótko przed godziną odejścia pociągu. W mieście jednak przypomniałem sobie, iż nie wydałem

służącemu bardzo ważnych zleceń i zmuszony byłem wrócić. Nie wszedłem jednak głównym wejściem, lecz schodami służbowymi. Służący mój był nieobecny, a drzwi od kuchni zastałem otwarte. Z sypialni dobiegł mnie jakiś szmer. Zdziwiony tem, zbliżyłem się na palcach i przez w pół uchylone drzwi, w wiszącym naprzeciw mnie lustrze dostrzegłem — ją. Klęczała nad moją walizką, w której zdawała się czegoś szukać; jakoż po chwili wydostała pudełko, w którym przechowuję proszki na bezsenność, i wyjąwszy stamtąd jeden proszek, włożyła zamiast niego jakiś inny. Byłem tak podniecony, iż nie wiedziałem, co czynić: rzucić się na nią, czy podejść i zapytać, co miało znaczyć jej postępowanie? Zanim zdołałem ochłonąć — znikła mi z oczu. Nie wyjechałem. Aptekarz bowiem, któremu zaniósłem wszystkie proszki do analizy, znalazł w jednym z nich śmiertelną truciznę. Miałem więc niezbity dowód. Zwierzyłem się z tajemnicy i przestałem być potrzebny. Byłem zbędnym świadkiem, żenującym współnikiem, który z czasem mógłby zażądać części słodyczy.

Postanowiono mnie zgładzić, tak jak Saint Hébert'a i d'Iseval'a. Napisałem niezwłocznie do jednego z mych przyjaciół w Hiszpanji, a w kilka dni potem gazety doniosły o śmierci niejakiego Beaumagnan'a w Madrycie.

Od tej chwili, ukrywając się przed oczyma wszystkich, śledziłem tę kobietę bezustannie. Z początku wyjechała do Rouen, stamtąd do Hawru, później do Dieppe, tj. wszędzie tam, gdzie prowadzimy poszukiwania. Z moich własnych ust dowiedziała się, że w okolicy Dieppe, zaczęliśmy rozkopywać ziemię w starym klasztorze, więc udała się tam i na tem pustkowiu spędziła cały dzień. Straciłem ją na jakiś czas z oczu, aby w Rouen znów ją odnaleźć. Przyjaciel nasz d'Etigues opowiedział wam resztę. Wiecie więc, jaką zastawiliśmy na nią pułapkę, ogłoszyszy w gazetach, iż pewien włościanin natrafił na swem polu na siedmioramienny świecznik, i jak, uwierzywszy temu, wpadła w nasze ręce.

Macie ją przed sobą. Wiecie kim jest, co zrobiła i czem nam grozi. Wiecie również, iż nie możemy oddać jej w ręce sprawiedliwości, gdyż

rozgłos, jaki wynikłby z tego, pogrzebałby raz na zawsze całą naszą sprawę. Musimy więc osądzić ją sami. Osądzić bez nienawiści, ale z całą surowością.

Beaumagnan zakończył swoją przemowę z powagą, która wywarła na słuchających stokroć silniejsze wrażenie, niż poprzednia jego gwałtowność. Nie wyglądał już na człowieka, który się mści, lecz na sędziego, który oskarża osobę istotnie występłą. Raul d'Andrassy nie wiedział już, komu wierzyć, ani co o tem myśleć; czuł tylko, iż z całej duszy nienawidził człowieka, który, stojąc tam na środku sali, wyznawał głośno, iż był kochankiem tej kobiety.

Hrabina Cagliostro podniosła się i spojrzała prosto w oczy swemu przeciwnikowi. Uśmiech jej stał się pogardliwy.

— A więc to, co się tu odbywa, jest zwykłym, choć pełnym ceremonji, morderstwem?

— Nie, jest tylko sądem, który wyda surowy, lecz niemniej sprawiedliwy wyrok.

— Jakie macie prawo sądzić i wyrokować? Na to są jawne, zwykłe sądy i ludzie ustanowieni

do tego. Cóż mnie to obchodzi, że dla jakichś ciemnych celów obawiacie się rozgłosu. Żądam, abyście mi natychmiast zwrócili swobodę.

— Po to chyba, aby nas pani znów zabijała jednego po drugim. O nie, jesteś pani w naszym ręku i musisz poddać się naszemu wyrokowi.

— Będzie to najwyżej gwałt, jeżeli bowiem między wami znajduje się choć jeden człowiek, mogący zdobyć się już nie na bezstronność, ale na zdrowy rozsądek, — to nie może się nie śmiać z waszych bezpodstawnych obwinień, z waszych bezsensownych dowodzeń!

— Niech więc nam pani dowiedzie, że się mylimy, że pani jest niewiną.

— W jakim celu mam się bronić? Postanowienie wasze jest powzięte z góry.

— Jest powzięte, gdyż mamy dowody winy pani.

— Jestem winną, owszem, ale mam powiedzieć, na czym polega moja zbrodnia? — Oto na tem, że dążę do tego samego, co i wy celu. Dlatego wytoczył mi pan sprawę, dlatego mnie pan prześladuje i ohydnie mnie pan oczernił.

Po co mi pan mówił o swych tajemnicach? Nie prosiłam pana o to. Znam zagadkę Cagliostro, bo dowiedziałam się o niej z jego papierów. Nie potrzebowałam pańskich wyznań, sama dążę do jej rozwiązania i znajdę je wbrew wszystkim przeszkodom. Pan wie o tem i dlatego chce mnie pan zamordować.

Beaumagnan, który znów zaczął tracić panowanie nad sobą, wykrzyknął:

— Ależ to pani mordowała naszych przyjaciół i mnie pani chciała zamordować, a teraz pani udaje niewinną!

— Nie zabiłam nikogo, to nieprawda — zaprzeczyła.

— Wie pani równie dobrze jak ja, że to pani zepchnęła ze skały Saint Hébert'a i Iseval'a.

— Nie znałam tych ludzi. Po raz pierwszy w życiu słyszę ich imiona.

— A ja? — zawołał — Czy mnie pani również nie znała? Nie chciała mnie pani otruć?

— Nie — odparła, z niezamąconym spokojem.

Oburzenie jego wzrosło do tego stopnia, że zapomniał gdzie się znajduje i do kogo mówi.

— Józefino — zawołał — nie zapieraj się! Widziałem cię tak, jak cię teraz widzę! Kładłś truciznę do pudełka, śmiejąc się tym wiecznym swoim, nawpół obojętnym, nawpół drwiącym śmiechem... widziałem cię!

Potrząsnęła głową i odparła z całym spokojem:

— Nie, to nie mogłam być ja.

Oburzony tak bezczelnem zaprzeczeniem Beaumagnan stracił głos; chciał przemówić i nie mógł, naprzemian to bladł to czerwieniał. Nie tracąc ani na chwilę swego spokoju, hrabina Cagliostro położyła mu dłoń na ramieniu i rzekła:

— Nienawiść zaślepia pana, panie Beaumagnan i odbiera panu możność myślenia. Czy pozwoli mi pan jednak powiedzieć parę słów na swoją obronę? ff

— Niech pani mówi. Słuchamy. Ale na miłość boską, niech się pani pośpieszy.

— Pośpieszę się. Nie mam wiele do powiedzenia. Ale niech pan wprzód poprosi swego

przyjaciela o tę minjaturkę hrabiny Cagliostro, malowaną w Moskwie r. 1816. (Beaumagnan machinalnie usłuchał rozkazu i wziął minjaturę z rąk barona d'Etigues) — Niech jej się pan przypatrzy uważnie. To moja podobizna, nieprawdaż?

— Do czego pani zmierzasz? — Nie rozumiem.

— Niech mi pan powie, czy to mój portret?

— Tak, bez najmniejszej wątpliwości.

— Jeżeli to mój portret, to w takim razie musiałam wówczas żyć i mieć lat dwadzieścia pięć lub trzydzieści. Przed osiemdziesięciu laty! Niech pan pomyśli, niech się pan zastanowi, czy coś podobnego jest możliwem?! Albo nie, powiem panu coś lepszego: Niech pan wyjmie tę minjaturę z ramek, tak, na odwrotnej stronie jest drugi obrazek. Jest to portrecik młodej, uśmiechniętej kobiety, której głowa osłonięta jest szalem spadającym aż do opuszczonych rzęs, a tak powiewnym, że widać przezeń jej ciemne włosy, rozdzielone równo nad czołem, prawda? Czy ry-

sy tej kobiety przypominają moje? Niech pan spojrzy.

Podczas gdy Beaumagnan oglądał miniatyrę, hrabina Cagliostro zarzuciła na głowę swój szal i spuściła oczy. Podobieństwo do owego portreciku, który istotnie znajdował się na odwrocie miniatyry, — było tak uderzające, że Beaumagnan zawołał:

— Tak... to pani... to znowu pani...

— A więc w takim razie niech pan odczyta datę, znajdującą się na prawej stronie u dołu.

Beaumagnan odczytał:

— Malowane w roku 1498 w Medjolanie.

Hrabina powtórzyła:

— W roku 1498! Przed czterystu laty.

Poczem roześmiała się głośno dźwięcznym, wesołym śmiechem.

— Niech pan nie robi takiej przerażonej twarzy! Wiedziałam o tej podwójnej miniatyrze i szukałam jej oddawna. Niema tu żadnego cudu; to nie ja pozowałam do niej, choćby dlatego, że nie liczę sobie jeszcze czterystu wiosen. Twarz, którą pan tam widzi przed sobą jest twarzą Pan-

ny Marji, skopjowaną z obrazu Bernarda Luini, mistrza medjolańskiego, jednego z uczniów Leonarda da Vinci.

Głos jej nagle spoważniał. Nie pozostawiając przeciwnikowi chwili czasu do zaprotestowania, w ten sposób ciągnęła dalej:

— Teraz pojmuje pan, do czego zamierzam, panie Beaumagnan? Jest coś wspólnego między mną a Panną Marją Bernarda Luini i portretem młodego dziewczęcia z Moskwy. Tem czemś niezaprzeczalnie wspólnem, a niezrozumiałem, jest uderzające podobieństwo. Trzy absolutnie te same twarze, choć z różnych epok, należące do jednej i tej samej kobiety. Czemu nie chce pan zrozumieć, że to samo, napozór niepojęte zjawisko, mogło się powtórzyć i w innych okolicznościach, i że kobieta, którą pan widział w swoim pokoju, kobieta, tak uderzająco podobna do mnie, nie była jednak mną. A zarazem była tą samą, którą pan posądza o zamordowanie tamtych dwóch przyjaciół swoich, tego Saint Hébert'a i Iseval'a?

— Ależ ja widziałem... bąkał Beaumagnan, który blady, zmieniony, stał przed nią — na własne oczy widziałem...

— Przed chwilą widział pan na własne oczy fotografię z przed paru tygodni, miniaturową z przed osiemdziesięciu laty i portret z XV wieku. Czy będzie pan twierdził, że to ja jestem tam wszędzie?

Podniosła ku niemu swą świeżą, młodą, a tak piękną twarz, bez jednej zmarszczki, o oczach błyszczących życiem, o jasnym uśmiechu, odsłaniającym zdrowe, jak śnieg białe zębki. Spojrzał na nią i przez chwilę jakby się zawahał, ale wnet wykrzyknął ze zdwojoną gwałtownością:

— O piekielnico, umiesz ty mówić tak, aby przekonać każdego!... Słowa twoje, jak toń, pociągają i oplątują człowieka. Ale kobieta na miniaturowej ma ciemne znamię na odsłoniętych niskoplecach. Znamię to widziałem i na twojem ciele... pokaż-że je innym, aby się przekonali!...

Blady był a pot strumieniem ściekał mu z czoła; w uniesieniu wyciągnął rękę, aby uchwycić ją za ramię, ale z dziwną siłą odepchnęła go. —

Dosyć — rzekła — dosyć. Pan jest doprawdy nieprzytomny i to już od dłuższego czasu. Wysłuchałam wszystkiego, co pan mówił i przyznać muszę, iż wysłuchałam z oburzeniem; mówił pan o mnie tak, jak gdybym była jego kochanką, a jednak nie byłam nią nigdy. Można spowiadać się publicznie, ale spowiedź ta powinna być szczerą; pańska nią nie była. Próżność popchnęła pana ku kłamstwu, i to, co pan wyznałeś swoim przyjaciołom, dalekiem jest od prawdy. Poznaliśmy się, to prawda. Chciałeś mnie pan pojąć, i to również prawda, ale się to panu w zupełności nie udało. Ani razu nawet nie pozwoliłem panu dotknąć ustami mojej ręki. Zadrasnęłam pańską próżność, nie zadowolili pańskiej chuci — i oto przyczyna pańskiej nienawiści. Przez zemstę chce mnie pan zgubić i dlatego przedstawił mnie pan swoim przyjaciołom jako przestępczynię, jako czarownicę. Tak, jako czarownicę. Chce pan bowiem wpoić w swoje otoczenie przekonanie, że taki człowiek jak pan słabym ani ułomnym być nie umie. Jeśli więc zawinił, to mógł to uczynić jedynie na skutek jakichś

sił nadnaturalnych. Doprawdy, panie Beaumagnan, pan nie wie nietylko co czyni, ale nawet co pan mówi. Jakiem prawem twierdzi pan, że byłam w pańskim pokoju i że wkładałam truciznę między pańskie lekarstwa? Był tam ktoś, być może, ale nie ja. Była to inna kobieta, tak ładna, co podobna do mnie.

Inna... ta, która znajduje się na waszej i na mojej drodze, panowie. Ta, która dąży do tego samego co i my celu. Jest jeszcze ktoś, co posiada papiery Cagliostro i nosi jego imię. To markiza de Belmonte, hrabina Fenise. Jej to musi pan szukać, panie Beaumagnan, to ją a nie mnie widział pan wówczas u siebie, i padł pan ofiarą łatwo zrozumiałej halucynacji. Wszystko co się działo dziś tutaj, uważam za nieporozumienie lub za przykry żart. Nie odzywałam się, nie broniłam się i nie zaprzeczałam niczemu, wiedząc aż nadto dobrze, iż jestem niewinna. Wiem zresztą, że nic mi się nie stanie, bo niema tu między wami człowieka tak podłego, żeby mnie skazał na śmierć. Pan być może, panie Beaumagnan, bo jesteś pan fanatykiem, chwilami

niemal nieprzytomnym, ale nie znajdzie pan w tem zebraniu niegodziwca, któryby pana poparł, lub panu pomógł. Skończmy więc tę przykrą scenę i wróćcie mi panowie wolność. Siła jest przy was; możecie mnie sądzić i osądzić, ale pamiętajcie, że niema więzienia, z któregobym się nie wydostała równie łatwo, jak wy z tej sali. Możecie korzystać ze swojej przewagi. Co do mnie, nie przemówię więcej słowa.

Usiadła znów na swoim miejscu i spokojnie oparła łokieć na ławce. Rola jej była skończona. Przemawiała bez cienia przestachu, ze zdumiewającą pewnością siebie i zupełnym spokojem. Logika jej rozumowania nie dała się zaprzeczyć, a to co mówiła, było ogromnie proste i zarazem ogromnie prawdziwe.

Jeżeli bowiem istotnie była osobą, którą obwiniał Beaumagnan i d'Etigues, którą poznał d'Arcole, osobą sfotografowaną i namalowaną na trzech podobiznach z odległych od siebie czasów — to lista jej przestępstw musiała być o wiele dłuższą. Czemuż mówić o jednych, wyłączając drugie? Ale jakże zgodzić się z twierdzeniem

tak nieprawdopodobnem, poprostu niemożliwym? Dlaczego nie przyjąć, iż Beaumagnan się pomylił, że jakieś okropne nieporozumienie istotnie tkwiło w całej tej sprawie?

Beaumagnan nie mógł nic przeciwstawić tym twierdzeniom.

Czując, że z pojedynku tego wyszedł zwyciężonym, milczał i poniechał walki, Raul zauważył również, że obecni nie mieli już tego zaciętego, jakby skamieniałego wyrazu w twarzy; przeciwnie wyglądali jak ludzie, którzy zaczynają się wahać. To też nadzieja wstępowała w serce młodego człowieka, ale niestety przyćmiewała ją nieco myśl o owych przygotowaniach, o których wspominali, przed rozpoczęciem zebrania, d'Éti-gues i Bennetot.

Beaumagnan odciągnął na bok barona i przez chwilę mówili o czemś półgłosem, poczem Beaumagnan zwrócił się do obecnych z wyrazem człowieka, który powziął niezłomną decyzję.

— Drodzy przyjaciele — rzekł — wiecie teraz aż nadto dobrze, jaką jest sytuacja. Słyszeliście oskarżenie i obronę. Widzieliście z jaką

pewnością d'Etigues i ja obwinialiśmy tę kobietę i byliście świadkami jej chytrej obrony, gdy starała się w nas wmówić jakieś, zupełnie niemożliwe podobieństwo. Sprawa jest zupełnie jasną: mamy przed sobą potężną przeciwniczkę, która nie zawaha się przed żadnymi środkami i nie da nam nigdy spokoju. Musimy wybierać: my czy ona. Jej życie zagraża ruiną nam i naszemu dziełu. Nie sądźcie jednak, iż śmierć jest jedynem rozstrzygnięciem tej zawiłej sytuacji, lub karą, jaką wam proponuję. Chciałbym poprostu unieszkodliwić naszą przeciwniczkę, aby nie mogła nam grozić i przeszkadzać. Jest to może zbyt łagodny środek, ale odpowiada bardziej naszemu sumieniu, bo wszak nietylko nam chodzi o to, aby karać lub mścić się, ale raczej o to, aby się bronić. Przewidując waszą zgodę przygotowaliśmy plan następujący: tej nocy statek angielski przepływa w pobliżu brzegu. Wyśle on ku nam barkę, ku której przy płynięciu tak, aby spotkanie nastąpiło około dziesiątej u podnóża skały Belval. Powierzmy tę kobietę marynarzom angielskim, którzy, zgodnie z umową, odwiozą ją do

Londynu i zamkną w domu warjatów. Pozostanie ona tam aż do chwili ukończenia naszych poszukiwań, to znaczy do chwili, gdy już przestanie być niebezpieczną. Sądzę, że nikt nie zaprotestuje przeciw temu projektowi, który, ratując nasze dzieło, nie obciąża naszego sumienia zbrodnią dokonaną na bezbronnej kobiecie.

Raul przejrzał natychmiast plan Beaumagnan'a i zimny pot wystąpił mu na czoło.

— To śmierć — pomyślał — statek angielski, marynarze, dom warjatów, — wszystko to wymysł. D'Etigues przygotował dwie barki, do jednej z nich złożą nieszczęsną, wywiozą barcę na pełne morze i zatopią. Hrabina Cagliostro zniknie bez śladu i nikt nie dowie się nigdy, co się z nią stało.

Tymczasem przyjaciele Beaumagnan'a milczeli, dając tem znak niemej zgody. Nie podejrzewali widocznie podstępu i w oczach ich mało wało się zadowolenie z takiego rozwiązania sprawy, przy którym skazanie na śmierć stało się zbędnem. Niejeden byłby się zawahał przed podobnym wyrokiem, a żaden, prócz Beauma-

gan'a, barona i Bennetot'a, nie wiedział, iż wyrok taki faktycznie zapadł. Jeden za drugim w pośpiechu opuścili salę, zostawiając w niej tylko Beaumagnan'a i dwóch kuzynów.

Ci trzej mieli więc teraz wolną rękę. Mogli czynić, co im się podobało z tą kobietą, której życie zależało tylko od ich dobrej woli. Ale Kaul nie wątpił, że to co zaczęto tak zagadkowo, skończy się dramatycznie.

Przez tych parę krótkich godzin obwiniania i sądu, zdołał sobie zdać sprawę z charakteru Beaumagnan'a, prawdziwego kierownika tak tego zamysłu, jak i całej wspomianej sprawy. Sąd i zebranie miały być dlań jedynie pożądanym pretekstem dla przeprowadzenia swojej woli. Wiedziony miłością, fanatyzmem i nienawiścią w równej mierze, postanowił odrazu, że kobieta ta musi umrzeć. A jednak w chwili, gdy tej woli jego stało się zadość, gdy nic nie mogło przeszkodzić jej wykonaniu — jakaś niepewność, jakiś żal nieokreślony malował się na jego twarzy. Duma, porywczność, a zarazem niezłomna siła woli mięszały się w tym człowieku z na-

padami słabości, z nieoczekiwanym przyływem łagodniejszych uczuć.

Stał na progu, jakby nie mogąc się zdecydować na opuszczenie sali, i przyglądał się swej ofierze, brwi jego były zmarszczone, twarz blada, a usta drgały mu nerwowo. Zdawało się, że się waha, że chce zbliżyć się do hrabiny, że chce coś powiedzieć lub uczynić, przeciw czemu sam się broni. Ale właściwym mu a nieco teatralnym ruchem, ujął za ramię Godfryda d'Etigues i odprowadziwszy go na bok, rzekł półgłosem:

— Wszystko tak, jak ułożone. Żadnych głupstw, żadnej słabości, nieprawdaż?...

Przez ten czas hrabina Cagliostro siedziała bez ruchu i bez słowa, zachowując spokojny, nieco zamyślony wyraz twarzy, tak nie licujący z jej sytuacją.

— Oczywiście — myślał Raul — nie podejrzewa tego, co ją czeka. Sądzi, iż osadzą ją istotnie na jakiś czas w domu warjatów, która to perspektywa nie przestrasza jej z jakichś powodów.

Minęła godzina, mrok zaczął zapadać na do-

bre. Hrabina Cagliostro kilkakrotnie spoglądała na zegarek.

Próbowała zawiązać rozmowę z Bennetot, który pozostał przy niej sam na straży. Gdy zwróciła się ku niemu, głos jej i uśmiech przybrały wyraz czarujący. Ale Bennetot zaledwie mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

Minęło jeszcze pół godziny. Było już całkiem ciemno. Hrabina Cagliostro obejrzała się wkoło siebie i zauważyła, iż drzwi prowadzące do ogrodu były w pół uchylone. Widocznie myśl o ucieczce zaświtała jej w głowie, gdyż nagle cała jej postać naprężyła się, jak do skoku.

Raul ze swej strony szukał również ratunku. Gdyby miał rewolwer, byłby zastrzelił Bennetot'a, ale niestety nie posiadał przy sobie broni; przez chwilę chciał skoczyć na salę i na pięści zmierzyć się z przeciwnikiem, ale otwór, którym wyglądał na salę, był zbyt mały.

Przytem Bennetot był uzbrojony. Zauważył spojrzenie i ruch uwięzionej, gdyż wyjął rewolwer i oświadczył:

— Jeśli się pani poruszy, położę ją trupem na miejscu.

Było tyle groźby w tonie jego głosu, iż istotnie hrabina nie poruszyła się więcej; nie starała się nawet rozmawiać. Raul nie spuszczał jej z oka.

Około siódmej Godfryd d'Etigues powrócił.

Zapalił lampę i zwróciwszy się do kuzyna, rozkazał:

— Przynieść nosze i przygotuj wszystko. A potem idź coś zjeść.

Pozostawszy sam na sam ze skazaną, baron d'Etigues począł nerwowo przechadzać się po sali. Ruchy jego były niepewne, a zachowanie zdradzało człowieka, który musi zrobić czy powiedzieć coś, czego wolałby uniknąć. Jak zwykle w tych wypadkach, zdecydował się nagle, nieomal brutalnie. — Czy nie sądzi pani, że do brzeby było dla niej pomodlić się nieco? — pytał głosem ochrypłym, nie patrząc na hrabinę.

Ona za to podniosła na niego spojrzenie tak spokojne, iż znać było, że nie domyśla się niczego.

— Czemu? — rzekła — Skąd ta rada?

Głos jego stał się jeszcze bardziej chrapliwym i zupełnie cichym:

— Jak się pani podoba... chciałem tylko powiedzieć...

— Co to znaczy? — zapytała głosem, w którym po raz pierwszy zadrżała nuta strachu.

— Są chwile — szepnął — gdy lepiej jest pomyśleć o Bogu... chwile, w których śmierć jest tak blisko...

W tej chwili zrozumiała, co ją czeka. Z wyrazem zwierzęcego przerażenia wyciągnęła ręce i krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Umrzeć! A więc mam umrzeć! Więc Beaumagnan mnie oszukał! Nie zawieziecie mnie do domu warjatów! Niech pan powie, co zrobicie ze mną?...

Nie odpowiedział, uczynił jakiś nieokreślony ruch ręką, nie patrząc na swą ofiarę.

— O Boże miłosierny! — zawołała nieszczęśliwa — W ciemną noc, na morzu wrzucicie mnie do wody... o Boże ratuj mnie, nie dopuść mojej śmierci!...

Godefroy d'Etigues trzymał w ręku grubą, wełnianą chustkę. Brutalnie zarzucił ją na głowę hrabiny i kneblując jej usta, zagłuszył krzyki.

W tej chwili Bennetot powrócił. Bez jednego słowa pomógł kuzynowi związać hrabinę, poczem obaj położyli ją na noszach i przywiązali do nich. Potem nie patrząc na siebie, nic nie mówiąc, usiedli w dwóch przeciwnych rogach sali.

W TONAĆEJ ŁODZI.

Robiło się coraz ciemniej. Milczenie zaciężyło wreszcie Oskarowi Bennetot i zwrócił się półgłosem do kuzyna:

— Trzeba było przynieść chociaż flaszkę rumu — rzekł, — są chwile, w których lepiej być nieprzytomnym.

— Przeciwnie, uważam, że dziś właśnie powinienes panować nad sobą i zdawać sobie sprawę z każdego kroku — odparł Godefroy d'Etigues.

— Nie powiem, abym z przyjemnością czekał na tę robotę.

— W takim razie czemu nie oparłeś się od razu życzeniom Beaumagnan'a? Czemu nie powiedziałeś mu, że nie podejmiesz się tego?

— Wiesz dobrze, że nie mogłem tego powiedzieć.

— W takim razie siedź cicho.

Znowu umilkli. Naokoło panowała zupełna cisza; żaden głos nie dobiegał ani z parku ani z pałacu.

Bennetot, który stanowczo nie mógł usiedzieć na miejscu, zbliżył się do noszy i pochylił się nad niemi.

— Nie rusza się — szepnął — prawie nie oddycha.

I podchodząc do kuzyna, spytał bardzo cicho i niemal bojaźliwie:

— Czy ty naprawdę wierzysz w to wszystko?

— W co naprzykład?

— No, w jej wiek choćby... w to jasnowidzenie z przed laty... w jej pochodzenie?

— Wszystko bzdury.

— Ale Beaumagnan w to wierzy.

— Któż odgadnie w co wierzy, lub o czem myśli Beaumagnan.

— A jednak Godfrydzie, jest w tem wszystkim coś tak niepojętego... tak dziwnego... że

czasami jest się bliskim myśli, że ta kobieta musi być czarownicą.

Po chwili wahania baron odparł:

— Tak, jest w tem wszystkim coś niemal przestraszającego. Gdy czytałem głośno te raporty, wierzyłem sam przez chwilę, że wszystko w nich jest prawdą. Ale dajmy temu spokój. Starajmy się przynajmniej nie myśleć o tem, co zmuszeni jesteśmy zrobić. Przysięgam ci na Boga — dodał głosem mimowoli podniesionym — że nie podjąłbym się nigdy tego, gdybym mógł się wymówić.

Istotnie, Godefroy d'Etigues wydawał się tak wstrząśniętym, że nie chciał, czy może nie był w stanie mówić dalej.

Ale Bennetot, mniej wrażliwy, znów powrócił do porzuconego tematu.

— I jabym się też nie podjął, zapewniam cię. Powiem ci więcej jeszcze: Oto poprostu w tej chwili mam chęć cisnąć wszystko i uciec, bez względu na następstwa. Mówiłem ci już raz o tem. Beaumagnan posługuje się nami, bo jesteśmy mu potrzebni, wie on o wiele więcej, niż nam

się zdaje, i pewnego pięknego dnia, gdy mu już nie będziemy potrzebni, zostawi nas na łodzi, a sam będzie korzystał z całej zdobyczy.

— Dajże spokój takim przypuszczeniom.

— No, już ty się przekonasz.

Zniecierpliwiony baron szarpnął go za rękę.

— Jak możesz mówić coś podobnego — syknął — przecież ona słucha.

— Cóż ci to szkodzi, że słucha? Przecież i tak...

Bennetot nie dokończył zdania. Umilkł. Przez długie, długie chwile żaden się nie odzywał. Obydwaj zamyślili się tak głęboko, że drgnęli z przestachu, gdy dzwon kościelny począł wybijać godzinę. Liczyli po cichu uderzenia: było ich dziesięć.

Godefroy d'Etigues podniósł się, gwałtownie odpychając krzesło.

— Do licha! — zaklął — Więc to już.

— Już — jak echo powtórzył Bennetot — i mamy iść sami?

— Tamci przyjdą. Ale odprowadzą nas tylko

do podnóza skał, nie mogą iść dalej, bo przecie wierzą w ten angielski statek.

— Ale jabym wolał, abyśmy szli wszyscy.

— Cicho! Rozkaz tyczy się tylko nas. Im więcej osób, tem więcej gadania. Patrz, już nadchodzą.

Jakoż trzej mężczyźni, którzy nie odjechali wieczornym pociągiem, d'Ormont, Roux d'Estiers i Rolleville wchodzili do sali. Jeden z nich niósł latarnię, którą jednak baron kazał zgasić.

— Żadnego światła — komenderował — mógłby je kto dojrzeć na szczycie skały i dałoby to w razie czego powód do plotek i domysłów. Czy służba śpi?

— Śpią wszyscy. Klaryssa nie wychodziła wcale ze swego pokòju.

— Wiem, wiem — rzekł baron — czuła się niedobrze. No, idziemy.

D'Ormont i Rolleville podnieśli nosze. Pochód ruszył powoli przez ogród ku bocznej furtce, a przez nią na polną ścieżkę, biegnącą ku morzu. Noc była ciemna, na chmurnem niebie nie błyszczała ani jedna gwiazda, to też trudno było

iść wśród drzew i krzewów starego parku. Niejeden się potknął i zaklął głośno, ale baron d'Etigues wnet nakazał milczenie.

— Żadnych hałasów, tam do licha! Mogą nas usłyszeć i poznać.

— Przecież nikogo niema. Służba śpi, a strażnicy celni piją w gospodzie.

— Niemniej jednak możemy się natknąć na kogoś. Czyż można wszystko całkowicie przewidzieć? W takich sprawach, jak nasza, nie jest się nigdy zbyt ostrożnym.

Doszli do skał nadmorskich, w których jakiś proboszcz z Benouville kazał wykuć kiedyś schody kamienne tak, aby wieśniacy mogli dostać się na wybrzeże i do przystani krótszą drogą. Schody te były strome i bardzo niewygodne, tak że zejście po nich przedstawiało trudności nawet we dnie, a nie dopiero w ciemną noc i z takim ciężarem.

— Nie wiem, czy sobie poradzicie — rzekł Rolleville — sądzę, że lepiej było, abyśmy wam pomogli i oświetlili drogę.

— Nie, nie — zaprotestował baron — im nas więcej będzie, tem łatwiej możemy zwrócić uwagę. Rozstańmy się tutaj.

Wezwani zgodzili się z łatwością, bowiem nikogo nie nęciło zbytnio to zadanie. Baron d'Éti-gues i Bennetot pozostali wkrótce sami i bez zwłoki puścili się w drogę.

Była ona długa i żmudna. Stopnie, po których schodzili, były wysokie a wąskie; kieszonkowa latarka rzucała blade, ledwie wystarczające światło; nosze ciężły i zawadzały. Po półgodzinie takiego marszu Bennetot zaproponował, aby je zrzucić wraz z ich ciężarem, że skutek będzie ten sam co i utopienie, a zaoszczędzi im trudu zmęczenia, ale baron oparł się temu.

Nareszcie zziajani, zmęczeni, wydostali się na wybrzeże, skąd już mogli dostrzec kołyszące się w oddali na wodzie dwie łódki. Bennetot pokazał kuzynowi otwór, który zrobił w mniejszej z nich, a który narazie zatkany był czopem. Nosze z nieruchomą, niedającą znaku życia hrabiną Cagliostro, złożyli na dnie tej łódki.

Bennetot zauważył nagle:

— Fala może wyrzucić nosze i jeżeli dojdzie do śledztwa, będą one dowodem przeciwko nam.

— Popłyniemy zbyt daleko, aby fala mogła je wyrzucić; przytem nosze pójdą na dno, bo do nich przywiążemy kamień. A gdyby nawet znalazły się na brzegu, to są stare, nieużywane nigdy nosze, których nikt w zamku nie rozpozna. Nie ma obawy.

Głos barona był tak niepewny, tak zmieniony, że Bennetot nie mógł go rozpoznać.

— Co tobie, Godfrydzie? — spytał.

— Nic. Daj mi spokój z pytaniami.

— No, to mów, co robić.

— Teraz przywiąż kamień. Tak. No a teraz musimy „jej” odkneblować usta i spytać ją, jakim jest jej ostatnie życzenie. Beaumagnan mi to polecił. No, zbliż się do niej.

— Ja? — zawołał Bennetot w panicznym przestachu — Miałbym jej odsłonić twarz, przemówić do niej!? Nie zrobię tego za nic.

— Ani ja. Nie mogę zdobyć się na to.

— Co prawda, jest winną przecie... zabiła tamtych dwóch...

— Zabiła... prawdopodobnie zabiła... to straszna kobieta, która tylko wygląda tak niewinnie napozór...

— Ale jest tak piękna — westchnął Bennet — tak piękna, jak święta...

I nagle, uklękawszy na brzegu, począł modlić się za tę, którą za parę chwil miał wydać na niechybną śmierć.

Baron d'Etigues wtórował cicho jego modlitwie a gdy wyrzekł wreszcie głośniejsz „amen“, jakby nowe siły wstąpiły w niego. Pociągnawszy za sobą towarzysza, umocował łódź, w której leżała ofiara, do drugiej łodzi a potem zepchnął obie na wodę. Obaj wskoczyli do pustej łodzi i poczęli usilnie wiosłować.

Posuwali się szybko naprzód a dzięki zmrokowi, który zdawał się gęstnieć coraz bardziej, przesunęli się, jak czarne cienie, między skałami i poczęli się wydobywać na pełniejsze morze. Po dwudziestu minutach baron rzucił wiosła.

— Doprawdy już nie mogę — szepnął — ręce odmawiają mi posłuszeństwa.

— I ja jakoś dziwnie się zmęczyłem — przyznał Bennetot.

Godefroy d'Etigues znów ujął za wiosła ale po chwili rzucił je i rzekł:

— Na co płynąć dalej? Zróbmy „to“ tutaj. Fale są tak duże, że uniosą łódź.

Bennetot był tego samego zdania.

— W takim razie — komenderował baron — przyciągnij liną łódź do siebie i wyjmij czop.

— To nie moja rzecz — zaprotestował Bennetot — to było tobie poleczone.

— Wszystko jedno komu, byle było zrobione. Ciągnij.

Bennetot pociągnął; kołysząc się na falach, łódka zbliżyła się trąciła dziobem w bok tej łodzi, w której siedzieli dwaj kuzyni. Teraz należało jedynie wyjąć czop. Zadanie łatwe, a jednak Bennetot zabrakło doń sił.

— Nie mogę — jęknął, opuszczając ręce — wierzaj mi, Godfrydzie, że nie mogę.

Baron d'Etigues podskoczył ku niemu i usuwając go na bok, prędkim ruchem wyciągnął czop. Z cichym pluskiem woda zaczęła wlewać

się do wnętrza łodzi. Było coś tak groźnego w tym jej plusku, że d'Etigues, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, chciał znowu zatkać otwór, ale było już zapóźno. Chwyciwszy za wiosła, Bennetot, nieprzytomny ze zdenerwowania, kilkoma potężnymi uderzeniami odepchnął o parę metrów dalej łódź, w której się znajdowali.

— Warjacie, co robisz! — krzyknął baron — Stójże, wróć u licha. Jeszcze można ją uratować! Ja ją chcę ocalić, wróć!...

Ale Bennetot nie słyszał i nie słuchał. Pochylny nad wiosłami, pracował tak, że aż trzeszczały rzemienie.

Teraz nie było ratunku; stało się to, co się stać miało. Woda za chwilę zaleje łódź i nosze, obciążone kamieniem, pójdą na dno. Kobieta, która na nich leżała, była już niemal trupem.

Godefroy d'Etigues zrozumiał to. Nie mówiąc już nic, ujął za drugą parę wiosel i począł pomagać towarzyszowi. Obydwaj chcieli jaknajprędzej oddalić się od miejsca swojej zbrodni, uciec, zanim woda zamknie się nad ofiarą. Wiosłowali, nie zachowując już żadnych środków ostrożności,

nie myśląc, czy kto ich dojrzy z brzegu, czy usłyszcy.

Hrabina Cagliostro była przytomną; czuła, jak ją układano w łodzi, czuła, jak odpływano na morze, i słyszała plusk wlewającej się wody. Wiedziała, że lada chwila zimne fale obejmą jej ciało, przenikną przez jej suknie, i że, nie zdolawszy wydać krzyku, zacznie opuszczać się na dno.

Ale łódź nie zanurzała się; zdawało się hrabini, że zaczyna odzyskiwać równowagę. Czy było to złudzeniem osoby stojącej już na progu śmierci? Nie, ktoś nachylał się nad nią i jakiś głos przemówił do niej.

Nie był to głos barona ani Bennetot. Był to głos zupełnie jej nieznanym, bardzo dźwięcznym i młodym.

— Niech pani będzie spokojną. Jestem, aby panią wyratować.

Nie wiedząc czy słyszy i czy rozumie, mówiący ciągnął dalej:

— Pani mnie nie zna, nigdy mnie pani nie widziała, ale jestem jej przyjacielem. Nazywam

się Raul... Raul d'Andrassy. Zatkanem otwór drzewem i kawałkiem materji i sądzę, że uda nam się dopłynąć do brzegu. Wprzód jednak wyrzucimy ten zupełnie niepotrzebny balast.

Z temi słowy rozciął więzy młodej kobiety, i uwiązany przy noszach kamień wrzucił do wody. Potem, oswobodziwszy ją z chustek, któremi zakneblowano jej usta, skłonił się i rzekł:

— Teraz jestem zupełnie zadowolony. Wszystko udało się nadspodziewanie i śmiem powiedzieć, że pani jest uratowaną. Czy tylko nie przemokła pani? Jak się pani czuje?

Odparła niemal nieprzytomnie:

— Dobrze, zupełnie dobrze... tylko noga... sznury zraniły mnie...

— To bagatela. Niech pani nie myśli o tem. Grunt, że za chwilę będziemy na brzegu. Obydwaj prześladowcy pani napewno już wylądowali się i wspinają się teraz po schodach. Nie potrzebujemy więc ich się lękać.

Wyciągnąwszy z pod ławki wiosło, które tam poprzednio ukrył, zabrał się do wiosłowania,

rozmawiając przytem wesoło tak, jakgdyby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

— Przedewszystkiem muszę się dokładniej przedstawić, aczkolwiek nie jestem odpowiednio po temu ubrany. Właściwie należałoby powiedzieć, iż jestem rozebrany, gdyż musiałem sobie na oczekaniu sfabrykować coś w rodzaju kąpielowego kostjumu. Trudno, skoro się wie, że się będzie musiało pływać, trzeba się zdecydować na zrzucenie garderoby. Zatem pani wybaczy a zarazem pozwoli — jestem Raul d'Andrassy. Mówię to na wypadek, gdybyśmy się znów kiedy spotkali. Dowiedziałem się o spisku przeciw pani i postanowiłem przyjść jej z pomocą. Pobiełem do przystani i uczepiłem się pod łodzią, w której panią tak uprzejmie ulokowano. Kiedy tylko tamci dwaj panowie się oddalili, co trzeba im przyznać, uczynili nader prędko, zatkałem łódź przygotowanym zawczasu czopem i oto płyniemy wybornie. Później opowiem pani to wszystko szczegółowo, teraz bowiem, jak mi się zdaje, nie jest pani w stanie słuchać.

— Jestem tak wyczerpaną — szepnęła — nie wiem, co się ze mną dzieje...

— Dam pani radę — rzekł — niech pani zemdleje. Nic tak nie uspokaja nerwów, jak porządne omdlenie.

Usłuchała go bez słowa. Leżała cicho nieruchoma, a równy jej oddech dowodził, że usnęła. Raul przykrył jej twarz.

— Tem lepiej że śpi. Mogę w zupełności oddać się swoim myślom.

Wiosłował więc, rozważając wszystko to, co zaszło i co należało jeszcze uczynić. Łódź tymczasem mknęła po wodzie, zbliżając się do skał. Gdy dziób jej uderzył o kamienie, Raul wyskoczył na brzeg, wyciągnął łódkę i wyniósłszy z niej hrabinę Cagliostro, złożył ją na skale.

— Jak pani widzi — rzekł śmiejąc się — na sile mi nie zbywa. Jestem szampionem boksu. Odziedziczyłem to po moim ojcu. Ale dość gadania. Teraz do roboty. Ponieważ sądzę, że będzie pani chciała zemścić się na swoich prześladowcach, przeto lepiej, aby do czasu nie domyślali się, iż pani żyje. W ten sposób łatwiej dadzą

się podejść. Ale na to trzeba, aby nie odnaleźli tu tej łódki. Przeto proszę o chwilę cierpliwości.

Wskoczywszy z powrotem do łodzi, Raul począł wiosłować. Gdy oddalił się nieco od brzegu, wyciągnął czop a sam wpław powrócił do skał. Był przekonany, że łódka zalana wodą pójdzie na dno. Na brzegu odszukał ukryte pod kamieniami swoje ubranie i, ubrawszy się, powrócił ku hrabinie, która leżała bez ruchu tam, gdzie ją pozostawił.

— Wszystko już załatwione — rzekł — teraz musimy wydostać się poza te skały, co także nie jest łatwe.

Józefina Balsamo otwarła oczy i zupełnie przytomnie spojrzała na niego; pomógł jej się podnieść, ale zaledwie stąpiła parę kroków, dotkliwy ból w nodze zmusił ją do zatrzymania się. Z głośnym jękiem oparła się o skałę. Raul ściągnął jej buciki i pończochy i wówczas ujrzał, że noga jej była skrwawiona. Sznury przecięły skórę, niezbyt głęboko coprawda, ale bardzo boleśnie. Młody człowiek zrobił jej prowizoryczny opatrunek, posługując się chustką jako banda-

żem; potem, wzięwszy ją na ręce, począł wstępować na schody.

Hrabina była lekka, ale 350 stromych schodów do przebycia z takim ciężarem nie było bagatelą. Czterokrotnie Raul zatrzymywał się po drodze i ścierając pot z czoła, zdobywał się na nadludzki wysiłek kontynuowania swej drogi.

Mimo to humor nie opuszczał go. Przy trzecim odpoczynku złożył jej głowę na swoich kolanach, a gdy żartował, zdawało mu się, że jej oczy uśmiechały się w odpowiedzi na jego żarty. Wreszcie, przyciskając mocno do piersi to czarujące, młode ciało, przebył ostatni kawałek drogi.

Teraz szedł polem w stronę dużej stodoły, którą sobie zawczasu upatrzył; ukrył w niej dwie flaszki ze świeżą wodą, butelkę koniaku i nieco żywności. Po drabinie, przystawionej do szczytu stodoły, dźwigając ciągle swój ciężar, dostał się do lukarny, służącej za okno, i przez jej otwór wszedł do środka budynku. Potem odtrącił drabinę, która cicho opadła na trawę.

— A teraz — szepnął — dwanaście godzin

wypoczynku, po którym odwiozę panią tam, gdzie mi rozkażesz.

Tylko co minione niebezpieczeństwo zdawało się już tak daleko! Teraz byli oboje, sam na sam, zamknięci w tej pustej, tak przemile bezpiecznej stodole.

U pułapu wisiała latarnia; przy jej świetle Raul położył hrabinę na miękkim pościaniu z siana, napił ją i nakarmił. Czując, że pod jego opieką nic jej nie grozi, Józefina Balsamo znów zamknęła oczy i po chwili zasnęła twardo.

Światło latarni padało na jej twarz, tak piękną i znów spokojną, pomimo tylu strasznych przeżyć. Klęcząc obok niej, Raul przyglądał jej się długo; poszarpane, zmięte suknie zsunęły się nieco z jej ramion, odsłaniając doskonałe linje ciała, klasyczny zarys szyi.

Młody człowiek przypomniał sobie słowa Beaumagnan'a; nie mógł się oprzeć chęci zobaczenia, czy istotnie miała na ramieniu owo czarne znamię, widoczne na minjaturze malowanej w Moskwie. Ostrożnie, by nie zbudzić śpiącej, zsunął jej z ramion strzępy sukni; na białym,

gładziutkim atłasie skóry, lśniła czarna plamka, unosząc się i opadając lekko w miarę oddechu śpiącej.

— Kimże ty jesteś? — szepnął ze zdumieniem młody człowiek — Z jakiej epoki, z jakiego świata przychodzisz do mnie?

I on z kolei, tak jak wielu innych, stanął przed zagadką pochodzenia tej kobiety? Tak jak inni zapytywał, czy była tą samą, którą odtworzono na minjaturze z przed osiemdziesięciu lat, tą samą, czyje przygody i czyny, datowały z tyłu epok i wpływały na tyle dziejowych wypadków?

Przez sen wymówiła kilka słów, których znaczenia nie zrozumiał.

Nachylony blisko nad nią, wsłuchiwał się w jej oddech, patrzył, jak poruszały się usta i wreszcie, sam nie wiedząc jak i kiedy, pocałował leciutko jej wargi.

Westchnęła; otworzyła na pół oczy i ujrawszy go nachylonego nad sobą, uśmiechnęła się uśmiechem, który nie zszedł z jej twarzy, nawet wówczas, gdy rzęsy jej znów opadły na oczy, na znak, że znów zasnęła.

Raul natomiast nie spał; długo składał ręce, jak przed świętością i choć go słyszeć nie mogła, szeptał słowa szalonych wyznań:

— Boże mój, jakże jesteś piękną! — mówił — Nigdy, nigdy nie sądziłem, aby można było być tak piękną! Uśmiech twój czaruje, porywa. Chciałoby się go zgasić, zasłonić tak, aby go nikt, nikt już więcej nie widział!...

— Józefina Balsamo, Józefina Balsamo — powtarzał jak we śnie jej imię — jak to brzmi cudownie! Czarownicą nazwał cię Beaumagnan, ale ty jesteś wróżką i przychodzisz z krajny bajki. Józefina Balsamo... to imię stworzone jest do szczęścia i miłości. Życie moje zaczęło się od chwili, gdym cię ujrzał; poznałem jego wartość po raz pierwszy dopiero dziś, gdym cię wziął w ramiona! Myślę tylko o tobie, chcę żyć dla ciebie. Chciałbym płakać ze szczęścia, że jestem przy tobie.

Mówił to wszystko cichym i namiętym szep-tem, nachylony tuż, tuż nad nią; ale pocałunek był jedyną pieśczęcią, na jaką sobie pozwolił. Było bowiem coś onieśmielającego w cudnym

uśmiechu Józefiny Balsamo, coś, co powstrzymywało, nakazując powagę i szacunek.

— Cudna ty moja — rzekł wreszcie — ja ci dopomogę w osiągnięciu twego celu. Wrogowie twoi nic ci nie uczynią, ja cię obronię. Zbliża czy zdaleka będę twoim opiekunem i rycerzem. Będiesz mogła zaufać mojemu oddaniu.

Tyle wzruszeń zmęczyło go. Nie wiedząc kiedy i jak, wśród najgorętszych przysiąg, usnął twardym, głębokim snem, który zmógł wreszcie jego podniecenie.

Zbudził się dopiero, gdy zegar kościelny wydzwonił jedenastą. Ze zdumieniem liczył uderzenia.

— Południe? — zapytał sam siebie — Czyż to możliwe?

Przez szpary w suficie, przez zasłoniętą deską lukarnę wdzierało się nieco słońca, mimo to zmrok był tak głęboki, że Raul nic nie mógł odróżnić wokoło siebie. Zawołał po imieniu swą towarzyszkę; nikt mu nie odpowiedział, wyciągnął rękę: miejsce obok niego było puste.

Latarnia już zgasła. Po omacku doszedł do lukarny i odsłonił ją. Promienie słońca wdarły się do stodoły i zalały ją wesołym światłem. Józefina Balsamo gdzieś znikła.

Obszedł całą stodołę; nie znalazł zbiega. Wyszedł więc na łąkę i wołał i szukał wokoło, ale bez rezultatu. Mimo zranionej nogi, którą wczoraj nie mogła nawet stąpnąć — dziś — zeskoczyła z wysokiego okna, przeszła ogród i łąkę...

Raul wrócił do stodoły, aby ją jeszcze raz przeszukać. Może odchodząc hrabina Cagliostro zostawiła jakiś znak, jakiś list. Jakoż nie szukał długo: na ziemi, wśród siana spostrzegł prostokątny kawałek tektury.

Była to jej fotografia. Na odwrotnej stronie znalazł następujący napis:

— „Mojemu wybawcy na znak wdzięczności, wraz z prośbą, aby nigdy nie starał się mnie odnaleźć“.

JEDNO Z SIEDMIU RAMION ŚWIECZNIKA.

Gdy nieco później Raul d'Andrassy wyciągnął swój rower z pod krzaka, w którym go przed 36 godzinami ukrył, był bliskim myśli, że wypadki ostatniego dnia i ostatniej nocy były jedynie wytworem jego bujnej fantazji, jakimś snem, z którego dopiero co się obudził.

Ale fotografia Józefiny Balsamo, bardziej jeszcze wspomnienie gorącego pocałunku, jaki złożył ukradkiem na jej ustach — przekonywały go żywo, iż wszystko co przeżył, było rzeczywistością. Wspomnienie to, zarówno jak i ta fotografia — przypomniały mu inną fotografię, inne pieśczoły. Klaryssa d'Etigues stanęła jak żywa przed jego oczyma. Ale Raul odpędził od siebie te widzenia: miłość młodego dziewczęcia była uczuciem czystym, które zaćmiła nowa, tak

nagle zrodzona namiętność. Hrabina Cagliostro opanowała zmysły Raula, pociągnęła ku sobie jego instynkt awanturniczości, zawładnęła nim niepodzielnie. Obraz biednej Klaryssy zatarł się w duszy młodego człowieka, choć w niej pozostał, jak coś nieskończenie świętego, ale przez to samo właśnie dalekiego.

Raul d'Andrassy był w wieku, w którym niewdzięczność miesza się z poświęceniem, miłość równie nagle rodzi się, jak umiera, a w którym przedewszystkiem żyje się chwilą, nie zastanawiając się nad własnymi czynami, ani nad ich następstwami.

Dotychczas właściwie nie kochał jeszcze; brakło mu i czasu potemu i sposobności. Był zbyt zajęty sobą, swojemi ambitnemi marzeniami o sławie, majątku, potędze, których pragnął całą siłą swej porywczej, namiętnej natury, niebardzo jeszcze wiedząc jak je zdobyć, a nawet gdzie szukać. Zdrowszy, silny, o bystrej inteligencji, przenikliwym umyśle, żelaznej woli — wierzył niezlomnie w swoją szczęśliwą gwiazdę i niecierpli-

wił się nieraz, że los tak zwleka z obdarzeniem go tem wszystkiem, czego się odeń spodziewał.

— Wytrwałości — mówił sam do siebie — szczęście nie może mnie ominąć. Trzeba tylko wyczekać tej chwili, gdy przejdzie koło mnie i pozwoli się ująć.

Tymczasem musiał jakoś żyć i niebardzo umiałby wytłumaczyć, skąd czerpał środki na owo życie. Był bowiem sierotą, bez przyjaciół, bez rodziny, bez żadnego majątku i co ważniejsza, bez żadnego zajęcia. Mimo to dawał sobie radę z dnia na dzień, zadawałnając się tem co miał, w oczekiwaniu tego, co mu życie przyniesie.

Józefina Balsamo, którą spotkał tak niespodziewanie, a którą zdołał uratować od niechybnej śmierci — przysłoniła mu cały świat. Nie zastanawiając się ani chwili nad tem, czy była winną przestępstwa, jakie jej zarzucano — widział w niej cel swych pragnień, bóstwo — któremu rad byłby służyć z zupełnem zaparciem się siebie.

Raz po raz wyjmując jej fotografię okrywał ją pocałunkami.

— Znajdę ją — powtarzał sobie uparcie — i muszę ją zdobyć. Wszystko to, co w niej przeraża innych — mnie czaruje nieodparcie. Nietylko moją będzie, nietylko ją posiadę, ale uczynię z niej najbardziej oddaną, najuleglejszą kochankę. O Józefino Balsamo, całe twoje tajemnicze życie będzie dla mnie otwartą księgą; twoje myśli, twoje uczucia i ty cała należec musisz do mnie.

A jednak ten hardy chłopak czuł, że w głębi serca Józefina Balsamo onieśmielała go nieco. I pewne rozdrażnienie, jakby bunt wewnętrzny, wywołane tą świadomością, łączyło się z jego namiętnością.

Dwa dni spędził samotnie w zajeździe w swoim małym pokoju, którego okno wyglądało na niewielkie, zasadzone jabłoniami podwórko. Były to dnie oczekiwania i rozważań. Trzeciego dnia popołudniu zrobił długi spacer w pole, spodziewając się skrycie, iż spotka przedmiot swych marzeń.

Sądził bowiem, że Józefina Balsamo musi ukrywać się gdzieś w pobliżu; nie wróciła prawdopodobnie do Paryża, aby zatrzeć wszelkie ślady i pozostawić swych wrogów w mniemaniu, iż utonęła istotnie. Nie wątpiąc ani chwili, iż będzie chciała się zemścić, przypuszczał, iż pozostała tu, skąd mogła śledzić barona i jego gości.

Powróciwszy wieczorem do gospody zastał na stole wiązanek kwiatów polnych. Niewiadomo było, kto i kiedy je przyniósł.

— To ona mi je dała — pomyślał młody człowiek, całując kwiaty.

Przez cztery dni ukrywał się w remizie, na podwórzu, śledząc każdego, kto wchodził do zajazdu, lub zbliżał się do okna jego pokoju. Jeżeli bowiem hrabina Cagliostro raz odwiedziła jego mieszkanie, to mogła tu i drugi raz powrócić. Jakoż czwartego dnia popołudniu ujrzał przed sobą smukłą sylwetkę kobiecą. Serce zabiło mu żywiej i był już gotów opuścić swą kryjówkę, gdy poznał Klarysę d'Etignes.

Szła ostrożnie między drzewami, skradając się w stronę jego pokoju; w ręku trzymała bukiet

polnych kwiatów, które przez otwarte okno złożyła na stole. Później odwróciła się i z westchnieniem spojrzała wokół siebie a Raul przestraszył się na widok zmiany, jaka w ciągu tych paru dni zaszła w jej twarzy. Usta jej były blade, a oczy wpadnięte, podkrążone sinemi obwódkami, miały wyraz śmiertelnie smutny.

— Jestem gotowa bez skargi znieść wszelkie cierpienia dla ciebie i przez ciebie — powiedziała mu owego pamiętnego ranka, nie przeczuwając, że cierpienie nadejdzie tak prędko, i że pierwszy dzień miłości będzie zarazem dniem rozstania.

Odeszła. A ta krótka chwila współczucia, jaką widok jej wzbudził w Raulu, rozproszyła się pod wpływem gniewu, że ona to, a nie hrabina Cagliostro była ofiarodawczynią kwiatów.

Odrzucając w kąć ów nieszczęsny bukiet, Raul zauważył jednak przypiętą doń kartkę; to biedna Klara, dziwnem jakimś fatum nadsyłała mu wiadomość, która miała go ostatecznie od niej oddalić.

— „Najdroższy — pisała — daj mi znak ży-

cia, wybaw mię z tej strasznej niepewności i powiedz swojej Klarze, że kochasz ją jeszcze.

Dziś wieczorem wyjedzie ojciec a z nim jego goście; wróca dopiero jutro późną nocą. Przyjdź, jedyny mój, odwiedzić mnie"...

Wyjeżdżają! Niewzruszony treścią tego listu Raul zastanowił się li tylko nad tym faktem i w tej chwili stanęły mu w myśli słowa Beaumagnan'a: „...udała się w okolice Dieppe, tam, gdzie prowadzimy nasze poszukiwania”...

A więc oto dłaczego wyjeżdżali! I Raul postanowił niezwłocznie jechać ich śladem.

Przebrany za rybaka, wsiadł tejże nocy do tego samego wagonu co baron d'Etigues i jego towarzysze. Nie spuszczaając ich ani przez chwilę z oczu, przesiadał się na tych samych stacjach, nocował w tej samej co oni gospodzie, a wczesnym rankiem, uczepiwszy się między kołami ich bryczki, przejechał wraz z nimi blisko dziesięć kilometrów.

Niewygodnie skulony w czasie tej przejażdżki, czuł się bardzo zadowolonym, gdy przybyli na miejsce: okazało się, że celem ich podróży

był zamek Gueures: duży, prostokątny budynek, otoczony obszernym ogrodem, w którym pracował cały legion robotników, uzbrojonych w motyki, rydle i łopaty.

Dzięki swemu przebraniu Raul wszedł do ogrodu, niezatrzymywany przez nikogo; zmieszawszy się z tłumem robotników, począł ich wypytywać i dowiedział się wkrótce, że zamek został niedawno nabyty przez markiza Rolleville, a roboty rozpoczęto dziś dopiero.

Sam markiz wraz z Roux d'Estieres, Ormont'em, baronem d'Etigues i Oskarem Bennetot stał na tarasie, dając baczenie na robotników. W pewnej chwili Raul słyszał, jak rzekł do nadzorca:

— Proszę przypomnieć robotnikom, że zobowiązali się oddać za nagrodą wszystko, cokolwiek znajdą przy kopaniu: bądź monety, bądź jakie przedmioty z miedzi, brązu czy żelaza.

Jasnym było, że prowadzono wszystkie te poszukiwania w jakimś, z góry określonym celu. Raul domyślał się, jakiego przedmiotu szukano tak uporczywie.

Obszedł parokrotnie park i pałac, przyglądał się z natężeniem wszystkiemu, a umysł jego pracował bezustannie.

Czas mijał; było już południe, a on nie pozwał żadnego postanowienia, choć każda wpływająca chwila mogła przynieść rozwiązanie tego strasznego turnieju, którego był świadkiem, oddając w ręce barona i jego przyjaciół, wraz z przedmiotem, którego poszukiwali, zupełne zwycięstwo.

Godefroy d'Etigues i jego towarzysze nie opuszczali tarasu, skąd widzieć mogli cały park. Naokoło tarasu biegł niski murek o balustradzie, złożonej z dwunastu słupków, z których każdy dźwigał antyczną, lecz już bardzo zniszczoną wazę.

Jeden z robotników, uzbrojony w motykę, zbliżył się ku tarasowi i począł burzyć mur; Raul, nagle uderzony jakąś myślą, — nie troszcząc się o to, że obecność jego może być zauważoną, stał tuż za pracującym i przyglądał mu się gryząc machinalnie papierosa.

Czapka z daszkiem zakrywała mu całkowi-

cie twarz, to też Godefroy d'Etigues, przyglądający mu się z tarasu nie poznał go, ale że właśnie skręcił sobie papierosa, a napróżno szukał zapalek, więc podszedł doń i grzecznie poprosił o ogień.

W tej jednej krótkiej chwili cały plan działania, do najdrobniejszych szczegółów zarysował się w głowie Raula, plan niesłychanie prosty, lecz wymagający zimnej krwi i pośpiechu.

Gdy baron, podziękowawszy, chciał się oddalić, młody człowiek zdjął czapkę i odsłonił w ukłonie starannie uczesaną i wypomadowaną fryzurę, która nie mogła być fryzurą zwykłego rybaka.

Godefroy d'Etigues rzucił bystre spojrzenie na jego twarz, i — aczkolwiek znajomość ich była tak pobieżną — poznał go odrazu.

— Znowu pan! — zawołał z gniewem — i do tego w przebrańiu! Co ma oznaczać ta nowa czelność i jak ośmieliłeś się pan napastować mnie aż tutaj? Powiedziałem panu raz na zawsze, i to dość dobitnie, że odmawiam panu ręki mojej córki".

Raul położył mu dłoń na ramieniu i rzekł rozkazująco:

— Żadnych krzyków! Mam panu coś do powiedzenia. Ale niech pan poprosi tu swoich przyjaciół.

Godefroy d'Etigues nie wiedział, jak reagować na tyle zuchwalstwa.

— Cicho — komenderował Raul — niech pan sprowadzi tu swoich przyjaciół, gdyż chcę wam oddać dużą przysługę. Czego szukacie? Świecznika, nieprawdaż?

— Tak — szepnął d'Etigues zupełnie machinalnie.

— A więc ja wiem, gdzie się ten świecznik znajduje. Wiem jeszcze coś, co opowiem panu nieco później. Wówczas też pogadamy i o panie d'Etigues. Ale nie dzisiaj, na razie są pilniejsze sprawy. Prędko, niechże pan przywoła swoich towarzyszy.

Głos młodego człowieka był tak przekonujący, że baron d'Etigues nie opierał się dłużej. Był zresztą oszołomiony jego nagłym zjawieniem a więcej jeszcze jego słowami. To też gestem

przywołał swych przyjaciół, którzy zaraz nadbiegli. — Ten młody człowiek — rzekł — mój znajomy, twierdzi, że mógłby nam pomóc...

Raul przerwał ostro:

— Żadnych „mógłby”, panie baronie. Mówię, że mogę. Pochodzę z tych okolic, jako malec bawiłem się nieraz w tym parku z dziećmi ogrodnika, który był zarazem stróżem pałacu i ogrodu. Otóż jednego razu pokazał nam obręcz wmurowaną w jedną z płyt w piwnicy i opowiedział, że za tą płytą znajduje się skrytka, dokąd dawni właściciele pałacu składali najrozmaitsze przedmioty...

Opowiadanie Raula zainteresowało spiskowców.

— Ale — zauważył Bennetot — myśmy już przeszukali piwnice bez żadnego rezultatu.

— Nie szukaliście panowie gruntownie — odparł spokojnie Raul — chodźcie za mną, zaprowadzę was do owej skrytki.

Dwoje drzwi prowadziło do piwnicy, składającej się z kilku sal.

— W trzeciej sali na lewo znajduje się kry-

jówka — tłumaczył Raul, który poprzednio dokładnie obejrzał piwnicę.

Przepuścił przed sobą wszystkich pięciu mężczyzn, którzy, schyliwszy się, szli po wąskich schodach o niskim sklepieniu.

— Ciemno, choć oko wykol — zauważył Roux d'Esteries.

— Istotnie — rzekł Raul — nic w tej ciemnicy nie będziemy mogli odnaleźć, ale mam przy sobie zapałki, a obok drzwi wejściowych widziałem latarnię. Zaraz ją przyniosę.

I pędem wbiegłszy na górę, zatrzasnął drzwi, obrócił klucz w zamku, wyciągnął go i krzyknął do zamkniętych w piwnicy:

— Zaświećcież sobie wszystkie siedem ramion waszego świecznika! Leży on pod ową płytą, starannie owinięty w pajęczynę.

Słyszał, jak pięciu przyjaciół poczęło w odpowiedzi walić wściekle w drzwi i zdawał sobie sprawę, że stare i zmurszałe deski nie oprą się dłużej nad jakie pięć lub dziesięć minut. Ale do wykonania swego planu nie potrzebował więcej czasu.

Jednym susem wskoczył na taras, wyrwał motykę z rąk jakiegoś robotnika i podskoczywszy ku dziewiętemu z kolei filarowi, zrzucił zeń wagę i z całej siły uderzył motyką w jego podstawę, która natychmiast rozleciała się w drobne kawałki. Wśród złamków cementu, kamienia i cegieł ujrzał Raul kawał zardzewiałego metalu, i rozpoznał w nim ramię jednego z tych dużych, starych świeczników, jakie się widuje niekiedy w kościołach na ołtarzu.

Robotnicy, którzy natychmiast zebrali się koło Raula, wydali okrzyk zdumienia na widok jego odkrycia; była to pierwsza rzecz, jaką znaleziono od rana.

Raul podniósł swą zdobycz i miał zamiar oddalić się najspokojniej, tak, jak gdyby wracał z nią ku właścicielowi pałacu i jego towarzyszom, lecz w tej chwili drzwi piwnicy pękły z trzaskiem a Rolleville, Roux d'Estieres, Ormont, Bennetot i d'Etigues ukazali się z poza nich i rzucili się ku Raulowi z krzykiem:

— Łapaj, trzymaj złodzieja!

Zanim otaczający go robotnicy zrozumieli co

się stało, Raul wyrwał się poza ich koło i z całej siły swoich młodych, muskularnych nóg, rzucił się do ucieczki. Gdyby, zamiast kraść przedmiot dla siebie zupełnie zbędny, był go odniósł staremu baronowi, zyskałby jego wdzięczność i protekcję i zapewniłby w przyszłości swój los. Ale on w tej chwili szalonej myślał jedynie o Józefinie Balsamo, o jej radości, gdy pewnego dnia wręczy jej to, czego tak poszukiwała.

Główna brama była zamknięta, co zobaczywszy, Raul skręcił w bok ścieżką, która, brzegiem niewielkiego stawu, doprowadziła go do warzywnego ogrodu, otoczonego ze wszystkich stron niezwykle wysokim murem. Wyjścia żadnego nie było i Raul zatrzymał się przerażony, oglądając się w koło, to znów poza siebie, czy pogoń się zbliża.

Za ogrodem wznosił się wiejski kościółek, a tuż za nim, przylegał do muru ogrodowego, cmentarz. Jedna z mogił leżała w samym ogrodzie; było to niegdyś miejsce wiecznego spoczynku panów de Geueures, dziś zaniedbany, prostokątny kawałek ziemi, otoczony mocną sztachetą

i porośnięty gęstym cisem. Raul przystanął właśnie tutaj i w chwili gdy rozpaczliwie rozglądał się wkoło, jakaś furtka otworzyła się za nim, a drobna ręka, wysuwając się stamtąd, uchwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą, poczem taż sama ręka zatrzęsnęła furtkę.

W gąszczu cisów Raul ujrzał przed sobą hrabinę Cagliostro; nie puszczać jego dłoni ze swojej, prowadziła go dalej ku drugiej furtce, na cmentarz, przed którym czekała bryczka. Była to jedna z tych staroświeckich bryczek, jakie się widzi jedynie na wsi, zaprzężona w dwa wielkie, a chude konie. Siwobrody stangret w granatowej bluzie siedział zgarbiony na koźle.

Ruchem ręki Józefina Balsamo kazała Raulowi wsiąść, potem umieściwszy się obok niego, rzuciła stangretowi:

— Przez Luneray do Daudeville! A poganiaj konie, Leonardzie.

Kościół stał na końcu wioski, droga na Luneray prowadziła nieco pod górę, zdala od domów. Chude konie mknęły jak wyścigowce.

Wnętrze na pozór nędznej bryczki było wygodne, eleganckie a tak obszerne, że Raul, który nie lubił tracić czasu, mógł paść na kolana, aby wyznać swą miłość towarzysze.

Wzruszenie jego było tak wielkie, jak nieoczekiwanem było to spotkanie; śmiał się i płakał naprzemian z radości i obejmując kolana hrabiny Cagliostro, sypał słowami, do których czuł się uprawniony w tych romantycznych okolicznościach, w jakich się po raz drugi spotykali.

Jego porywcze, bezładne, chwilami wesołe, chwilami poważne słowa, mogłyby rozbroić najbardziej niedostępną kobietę.

— To pani? — mówił — To znowu pani i to zjawiająca mi się w tak cudowny sposób? Istne deus ex machina! W chwili bowiem, gdy ta banda byłaby mnie z całą pewnością dogoniła i jeśli nie zabiła, to obijała, zjawia się pani, jak mój dobry duch zbawczy. Jakże strasznie jestem szczęśliwy i jak strasznie panią kocham! Kocham panią od lat, od całych stuleci! Doprawdy czuję nagromadzoną w sobie miłość wieczną, miłość starą a tak młodą i piękną, jak pani. Bo pani jest

piękną, tak piękną, że nie można patrzeć na nią bez wzruszenia! Mógłbym patrzeć całe lata na panią i podziwiać jej uśmiech, jej spojrzenie... ten nieuchwytny wyraz twarzy pani, który stanowi taki jej urok, to coś, czego nie można odczytać, nie można posiadać!

Zaczerwienił się nagle i zniżył głos:

— Pani gniewa się na mnie? — zapytał — Pani tak patrzy na mnie w tej chwili. A przecież nie może pani wzbronić, bym ją kochał...

W odpowiedzi uchyliła drzwi bryczki i rzekła:

— Ale mogę pana poprosić, abys pan wysiadł.

— O nie, pani, będę się opierał...

— A jeżeli zawołam do pomocy mego stanigreta?

— Niech pani tego nie czyni. Gotów jestem go zabić.

— A jeśli wyskoczę sama z bryczki?

— Skaczę za panią i będę dalej prawil o swojej bezgranicznej miłości.

Mimowoli roześmiała się.

— No, więc niech już pan pozostanie! Ale proszę zachowywać się poważnie. Chcę wiedzieć, co znaczyło całe to zamieszanie i ta pogoń za panem?

— Opowiem pani wszystko — odparł radośnie — gdyby pani wiedziała, jak jestem szczęśliwy, że mnie pani nie odpędziła i że pani przyjmuje moje wyznanie...

— Ależ niczego nie przyjmuję, mój panie — zaprzeczyła ze śmiechem — bez żadnej zachęty z mojej strony prześladuje mnie pan swojemi oświadczeniami, choć mnie pan nie zna.

— O, ja znam panią doskonale!

— Widział mnie pan raz w nocy, przy bladym świetle latarni i oto cała nasza znajomość.

— Przepraszam panią, miałem szczęście podziwiać panią w dniu poprzedzającym tę noc. Nie odrywałem oczu od pani, przez cały czas owego okropnego sądu.

Twarz jej nagle spoważniała.

— Więc pan się tam znajdował — rzekła, patrząc bystro na młodzieńca.

— Byłem tam — przerwał — i stąd wiem

wszystko o pani. Znam cię, piękna masko! Jesteś córką Cagliostro, wychowaną wielkiego Napoleona, zdradziłaś Napoleona III. i popchnęłaś do samobójstwa dzielnego generała Boulanger! Posiadasz eliksir młodości... liczysz kilkaset lat i ja cię kocham do szaleństwa!

Głęboka brózda sfałdowała jej czoło; jakby nie słysząc nic z tego co mówił, powtórzyła w zamysleniu.

— Pan tam był... tak, domyślałam się tego. Widział pan, co musiałam przejść i słyszał pan te bezsensowne obwinienia.

— Słyszałem te absurdy — widziałem bandę niegodziwców, którzy wszyscy nienawidzą panią tak, jak muszą nienawidzić to wszystko, co jest piękne. Ale nie myślmy o tem; chcę wierzyć, że pani jest wiecznie młoda, że pani nie może umrzeć, a żyje pani po to, abym mógł ją kochać. Chcę pamiętać, że jesteśmy teraz razem i że pani jak wróżka wyjrzała z tego gaju cisów, aby mnie wyratować i przywołać do siebie.

— Wiedziałam, że będą dzisiaj szukali — odparła pochmurnie — i weszłam przez tę starą

boczną furtkę, chcąc choć zdala mieć ich na oku.

— Szukali istotnie. Niech pani tylko pomyśli: od tygodni, od miesięcy może rozkopują ten park w poszukiwaniu siedmioramiennego świecznika, który ja znajduję w przeciągu kilku minut, kierowany li tylko myślą sprawienia pani przyjemności!

Twarz jej pobladła ze wzruszenia.

— Co pan mówi? — szepnęła — Pan znalazł?...

— Niestety nie cały świecznik, ale w każdym razie jedno z jego siedmiu ramion.

Józefina Balsamo wzięła podawany jej przez młodzieńca kawałek metalu i poczęła mu się przyglądać z jakąś gorączkową niecierpliwością: był on okrągły, pokryty grubą warstwą rdzy, a jeden z jego końców, jakgdyby nieco spłaszczony, dźwigał duży, fioletowy kamień.

— Tak, tak — szepnęła — to on. Niema żadnej wątpliwości. Ramię musiało zostać odpiłowane u samej podstawy. Ach, pan nie może nawet zdać sobie sprawy, jak nieskończenie jestem panu wdzięczna!

Zachęcony jej podziękowaniem Raul w mawlnicznych słowach kreślił przebieg całego zdarzenia, hrabina Cagliostro nie mogła wyjść z podziwu:

— Ale skąd przyszło panu do głowy szukać tam właśnie? Jakimż dziwnym trafem wybrał pan dziewiątą kolumnę z prawej strony? Dziewiątą a nie którąkolwiek inną?

— To nie był traf. Miałem dane sądzić, że świecznik tam jest ukryty, zauważyłem bowiem, że z dwunastu kolumn — jednaście datuje się z XVII stulecia, ta jedna, dziewiąta właśnie — była późniejszego pochodzenia.

— Skąd mógł pan to wiedzieć?

— Jedenaście zbudowanych było z cegły, jakiej nie wyrabiamy od dwustu lat przeszło; dziewiąta kolumna na prawo zrobiona była z cegły używanej po dziś dzień. Stąd prosty wniosek, iż kolumnę tę musiano w swoim czasie zburzyć, a potem znów wzniesiono. A zburzono prawdopodobnie poto, aby tam coś ukryć.

Józefina Balsamo milczała przez długą chwilę; wreszcie rzekła zwolna:

— To nie do wiary. Nigdy mi nic podobnego nie przyszło do głowy... I tam, gdzie się tyle osób namęczyło na próżno, panu udało się odrazu! To zakrawa na jakiś cud.

— Cud miłości — szepnął Raul.

Konie mknęły z zawrotną szybkością, przesterzeń ani droga nieco wyboista i nierówna nie zdawały się ich męczyć. Wioski, pola, lasy, łąki migwały z dwóch stron bryczki, zmieniając się bezustannie.

— Czy Beaumagnan był między nimi? spytała hrabina.

— Niestety dla mnie, a szczęściem dla niego był nieobecny. Nie byłby mi uszedł cało, bo mało kto jest mi tak wstrętny jak on.

— Ja nienawidzę go bardziej jeszcze.

— Ale pani — zauważył Raul, nie mogąc ukryć swojej zazdrości — darzyła go kiedyś innym niżli nienawiść uczuciem.

— To kłamstwo, brudny wymysł tego człowieka — odparła — Beaumagnan jest tak chorobliwie próżnym, że ukuł całe to oszczerstwo, aby pomścić się na mnie za to, że odepchnęłam jego

miłość. Jak pan słyszał zresztą, zrobiłam mu ten zarzut zupełnie otwarcie, a on nie protestował. Nie miał czelności protestować.

Raul znów padł na kolana.

— Temi słowy wraca mi pani życie — zawołał — więc pani go nie kochała? Ach, pani nie może sobie wyobrazić, jaką męką była ta myśl dla mnie. Dzisiaj widzę, że to było niepodobieństwem: Józefina Balsamo i pan Beaumagnan!

Uderzony jakąś nagłą myślą, zaczął klaskać w dłonie.

— Najdroższa moja: Józefina to takie brzydkie, uroczyście imię! Dla mnie będzie pani Jozyną, Dobrze? Jozyną, jak dla Napoleona i pięknej pani Beauharnais.

— Niech pan pamięta jednakże — uśmiechnęła się przekornie — iż nie jestem pańską Jozyną. Wymagam dla siebie szacunku.

— Ale ja mam nietylko szacunek, ale prawdziwą cześć dla pani. Jest pani mojem bóstwem, które chcę wielbić dniem i nocą. Niechże pani spojrzy, ja drzę przed panią. Bez pani zezwolenia nie ośmielę się nawet pocałować jej ręki.

POLICJA I ŻANDARMI.

Jechali długo, a cała ta droga była jednym monologiem ze strony Raula, gdzie słowo „kocham” powtarzało się bezustannie. Opowiadał, nie troszcząc się, czy jest słuchanym, pytał, nie czekając na odpowiedź.

Józefina Balsamo przysłuchiwała mu się z pobłażaniem, z jakim niekiedy starsi przysłuchują się miłemu szczebiotowi dziecka; ale miłczenie, którego nie przerwała ani razu, zdradzało, iż myśl jej zajęta była czem innym.

Zachowanie jej zniecierpliwiło wreszcie Raula.

— O proszę, niechże pani odezwie się do mnie — rzekł — staram się być wesołym, aby w formie żartu wypowiedzieć uczucia, których nie śmiałbym wyrazić inaczej. Ale kiedy widzę

pani oczy, zdaje mi się, żem albo znudził, albo obraził panią. Czy nie może pani znaleźć do prawdy choć kilku słów dla mnie?

Uśmiechnęła się z lekka.

— Kilku słów tylko? I wszystko jedno jakich?

— Zadawałam się małym.

— A więc dobrze. Zwracam panu uwagę, iż zbliżamy się do Daudeville, skąd będzie pan mógł jechać w dalszą drogę pociągiem.

— A pani? Co pocznie pani beze mnie?

— Mój Boże! — roześmiała się — będę się starała radzić sobie tak, jak radziłam dotychczas.

— O nie, na to się nie zgodzę. Czuję, że pani nie umie już obejść się beze mnie. Niech mi pani wierzy, że pomoc moja jest jej niezbędną do walki z Beaumagnan'em, i tą zgrają bandytów, na jaką się składa dziewięciu jego przyjaciół.

— Pan zapomina, że dla nich utonęłam.

— Tembardziej, droga moja. Cóż może pani począć, skoro pani utonęła?

— Upewniam pana, że potrafię działać tak, aby się nie domyślili nawet, że żyję.

— Pomówimy poważnie — rzekł Raul, krzyżując ramiona, — ofiarowuję pani swoją pomoc i chciałbym, aby ją pani przyjęła. Są okoliczności, w których kobieta nie może sobie poradzić, i w tych to właśnie pragnę służyć pani. O, zupełnie bezinteresownie, proszę mi wierzyć, tak się służy czemuś co jest piękne i szlachetne. Beaumagnan nienawidzi panią. Przekonała się pani, że człowiek ten waży się na wszystko, aby przeszkodzić pani w osiągnięciu celu, który jest i jego celem. Ukuł cały spisek przeciwko pani, obsypał panią zarzutami, a uczynił to tak zręcznie, iż ja sam przez chwilę patrzyłem na panią jego oczyma i byłbym przysięgł, iż pani jest czarownicą lub zbrodniarką. Teraz wstydzę się tego, ale jest to właśnie dowodem, co potrafi ten człowiek i że nie powinna pani odtrącać mojej pomocy w walce z nim.

Uległa mu. Minęli więc Daudeville i po pół godzinie dalszej jazdy zatrzymali się przed wiejskim zajazdem.

— Wsiądźmy — rzekła hrabina Cagliostro, folwarczek ten należy do pewnej wieśniaczki, która kiedyś służyła u mnie jako kucharka. Od czasu do czasu przyjeżdżam tutaj na kilkodniowy odpoczynek, przejdziemy piechotą do domku mojej gospodyni, matki Vasseur, i tam zjemy obiad. Leonardzie, bądź gotów do odjazdu za jakąś godzinę.

Skręcili na szosę, hrabina szła nieco naprzód a Raul, idąc o kilka kroków za nią, nie mógł oderwać oczu od jej kształtnej sylwetki, podziwiał jej ruchy, lekkie jak ruchy młodego dziewczęcia. Ubrana była w szarą, obcisłą sukienkę i liljowy kapelusz, związany szerokimi aksamitkami pod brodą i podpięty bukietkami fijołków.

Minęli plebanję z jej małym, pełnym kwiatów ogrodkiem, i zbliżyli się do niewielkiego budynku, którego uchylone drzwi prowadziły wprost do obszernej, biegnącej przez cały dom, sali.

Z pokoju obok dobiegały jakieś męskie głosy.

— Któż tam jest? — zapytał Raul, który wchodząc, obejrzał się bystro wkoło.

— To pewnie matka Vasseur rozmawia z wieśniakami. W tamtym pokoju zazwyczaj jadamy.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do sali weszła staruszka, opasana wielkim, bawełnianym fartuchem i obuta w saboty.

Ujrawszy Józefinę Balsamo, zamknęła za sobą szczelnie drzwi i z widocznym przerażeniem poczęła bąkać jakieś bezładne zdania, których nie można było zrozumieć.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem hrabina.

— Prędeż... prędeż, niech pani ucieka! Niech się pani ratuje!

— Ale dlaczego? Przed czym uciekać? Co tutaj zaszło?

Z wielkim trudem matka Vasseur zdołała wykszusić następujące słowa:

— Była tu policja... żandarmi..., przetrząsnęli kufry... szukają pani..., zaraz wróca, niech pani ucieka w tej chwili!...

Hrabina zbladła jak płótno i zachwiała się tak silnie, że musiała oprzeć się o ścianę. Oczy jej pobiegły ku Raulowi, jakgdyby u niego szukała pomocy.

Blady, nie rozumiejąc jeszcze dobrze całej sytuacji, ale zdając sobie sprawę z jej grozy, Raul patrzył to na nią, to na matkę Vasseur, nie mogąc opanować swego zdumienia.

— O co chodzi? wyrzekł wreszcie — przecież to musi być pomyłka. Ci żandarmi nie mogą naprawdę szukać pani...

— Jej, jej szukają — powtarzała uparcie matka Vasseur — trzeba w tej chwili uciekać.

Niepodobna było już wyjść. Matka Vasseur drżała całym ciałem, powtarzając w kółko:

— Żandarmi... policja...

— Cicho — zakomenderował Raul, odzyskując nagle spokój — wielu jest policjantów?

— Dwóch.

— I żandarmów również dwóch. Niema więc mowy o walce. Musimy działać inaczej. Gdzie są kufry pani?

— Na strychu.

— Gdzie są schody na strych?

— Tutaj — wskazała włościanka.

— Doskonale. Pozostańcie tutaj, moja kobieto, i nie zdradźcie niczem naszej obecności. Resztę ja biorę na siebie.

Znów ujął hrabinę za ramię i pociągnął ją za sobą na górę, po wąziutkich schodach. Kufry stały otworem, a suknie i bielizna hrabiny leżały porozrzucane wokoło. Raul zobaczył przez okno, iż policjanci wyszli z domu na podwórko, a żandarmi, którzy nań właśnie wjechali, zeskoczyli z koni i zaczęli je przywiązywać u płotu.

Józefina Balsamo przyglądała się temu, jak skamieniała; w ciągu kilku tych chwil twarz jej, pod wpływem strachu, raptownie postarzała.

— Niech się pani przebierze nie zwlekając, mówił cicho, ale spokojnie Raul, — i niech pani włoży jaką czarną suknię.

Odwrócił się znów do okna; a gdy była już przebrana, wziął jej szarą sukienkę, leżącą na ziemi i włożył ją, obciążając nisko, aby mu zakryła nogi. Dzięki temu, że był szczupły, a nie zanadto wysoki, suknia leżała na nim bardzo do-

brze. Wydawał się tak zachwycony swoim przebraniem, iż pod wpływem jego wesołości, hrabina uspokoiła się.

Tymczasem na dole żandarmi prowadzili z policjantami ożywioną rozmowę, której żadne słowo nie uszło uszu Raula i jego towarzyszki.

Jeden z żandarmów dopytywał się właśnie:

— I jesteście pewni, że zatrzymała się tutaj?

— Najzupełniej pewni. Znaleźliśmy tutaj jej dwa kufry; na jednym wypisane było jej imię: Pellegrini. A przytem matka Vasseur... znacie matkę Vasseur?

— Ja myślę, że ją znamy.

— Otóż matka Vasseur powiedziała nam, iż owa pani Pellegrini spędza u niej od czasu do czasu kilka dni.

— Odpoczywa sobie tutaj między dwoma kradzieżami.

— Najprawdopodobniej.

— To ta pani Pellegrini jest niezłą zdobywcą?

— Pyszna. Ta kobieta jest oskarżona o grube kradzieże, włamania, szantaże.

— Jednym słowem co się chce. No i ma za sobą całą zorganizowaną bandę.

— Czy macie jej rysopis?

— Nawet dwojaki. W jednym podana jest jako osoba młoda, w drugim jako staruszka. Wiek między trzydziestką a sześćdziesiątką.

Wszyscy czterej roześmiali się, a potem pierwszy głos znowu zapytał:

— Jakżeście wpadli na jej ślad?

— Dowiedzieliśmy się, iż dwa tygodnie temu znajdowała się w Rouen i w Dieppe. Stamtąd znikła bez śladu. Niewiadomo, czy udała się do Hawru, czy do Fecamp? Nie mogliśmy jej nigdzie znaleźć.

— Skądże wpadliście na pomysł szukania jej tutaj?

— Na skutek najprostszego przypadku. Traagarz kolejowy, który ładował kufry, spostrzegł na jednym z nich, pod nawpół odklejoną etykietą hotelową, imię Pellegrini. Zapamiętał to imię, dzięki czemu znów wpadliśmy na trop.

— A wybadaliście innych gości matki Vasseur?

— O, tutaj nikt inny nie mieszka?

— Jakto nie mieszka? Tylko co widzieliśmy tu jakąś damę.

— Damę? Tutaj?

— Ależ tak. Nadjeżdżaliśmy właśnie, gdy wychodziła z domu, ale cofnęła się natychmiast, tak jakby się bała, aby jej nie zauważono.

— Kobieta tutaj? Czyżby to była ona?

— Nie widziałem jej twarzy, ale wiem, jak była ubraną. Miała na sobie szarą suknię, i kapelusz z takimi bukietkami fijołków...

Rozmowa urwała się.

Raul i hrabina wysłuchali jej od początku do końca. Z każdym słowem twarz młodego człowieka stygła, jakby twardniała w jakimś zaciętym wyrazie; stał bez ruchu, nie zdradzając swych uczuć najlżejszym szeptem. W jej spojrzeniu malował się strach, ale nie było cienia oburzenia czy protestu.

— Nadchodzą — rzekł wreszcie Raul — za chwilę znajdą panią tutaj; a wówczas jest pani zgubioną. Nie mamy czasu do stracenia. Niech mi pani da swój kapelusz.

Wziąwszy go z jej rąk, nasunął na głowę, tak, aby zakryć nim twarz, a zarazem uwidocznic fijołki. Poczem udzielił jej kilka wskazówek.

— Otworzę pani drogę. Niech pani z tego natychmiast skorzysta i wyjdzie stąd, aby udać się do zajazdu, gdzie czeka Leonard. Konie muszą być gotowe do odjazdu natychmiast.

— A pan?

— Przyjdę za dwadzieścia minut.

— A jeśli pana aresztują?

— Nie aresztują ani mnie ani pani. Ale przede wszystkim spokoju. Niech pani idzie wolno. Nie śpieszyć się, nie biec pod żadnym pozorem!

Wyrzał przez okno. Policjanci i żandarmi weszli już do domu; nie tracąc ani chwili wyskoczył przez okno, i wydawszy przeraźliwy krzyk strachu, jakgdyby wywołanego widokiem uzbrojonych mężczyzn, rzucił się do ucieczki.

Niepodobna było nie zauważyć go; wołano za nim:

— To ona! Chwytać ją! To ona! Szara suknia i kapelusz z fijołkami. Stać, stać bo strzelę.

Jednym susem przesadziwszy płot, pędził przez pole a później przez las; i znów przez jakieś pole, przez niewielką łączkę, aż wreszcie wpadł na wąską ścieżkę, okoloną z obu stron gęstym żywopłotem, a prowadzącą najwidoczniej na jakiś inny folwark.

Tutaj obrócił się; wyprzedził sporo swoją po-goń i znikł jej na razie z oczu. Nie tracąc więc czasu zerwał z siebie kapelusz, suknię i wsunął je za żywopłot. Poczem wyciągnął z kieszeni swoją czapkę rybacką, z fantazją włożył ją na głowę i, zapaliwszy papierosa, a ręce wsunawszy niedbale w kieszenie spodni, zawrócił tą samą drogą.

Na zakręcie wpadli nań dwaj zdyszani policjanci.

— Hej, panie rybaku, nie widzieliście tu gdzie kobiety w szarej sukni?

— Leciała jak warjotka, tak?

— Otóż to właśnie. Gdzie ona?

— Widziałem, że biegła tędy na folwark.

— Którędy?

— Tą samą ścieżką.

— Dawno temu?

— Może z pół minuty.

Policjanci pobiegli we wskazanym kierunku, a Raul szedł spokojnie swoją drogą; kilka kroków dalej spotkał obydwu żandarmów i minął ich, pozdrowiwszy uprzejmem skinieniem głowy. Wkrótce był już na szosie.

O parę metrów od zajazdu stała bryczka, Leonard siedział na koźle z batem w rękę, Józefina Balsamo, wtulona w kącik, dojrzała go zdaleka i otworzywszy drzwiczki dawała mu naglące znaki.

Nie śpiesząc się wsiadł i rzucił Leonardowi:

— Do Ivetot.

— A w takim razie musimy znów spotkać się z nimi — zaoponowała hrabina — wszak będą wracali tędy.

— Na szosie nikt nas nie zatrzyma, droga jest równa, wygodna. Pojedziemy wolno, opieszale, aby nie wzbudzić podejrzeń. Jedź jak za pogrzebem, Leonardzie.

Stępa przejechali koło zajazdu, plebanji i domku matki Vasseur; policjanci i żandarmi

wracali doń właśnie. Jeden z nich niósł szarą suknię i zakurzony kapelusz, wszyscy gestykowali, krzycząc.

— Odnaleźli w krzakach te rzeczy i domyślili się wybiegu. Teraz będą szukali rybaka, ale nigdy nie przypuszczają, że znajduje się on w tej bryczce, tuż obok pani Pellegrini. Gdyby to wiedzieli... ba, ciekaw jestem, czyby się bardziej śmiali czy irytowali.

— Wezmą na spytki matkę Vasseur.

— Miejmy nadzieję, że starowina jakoś się wykręci.

Gdy ujechali kilkadziesiąt metrów, Raul kazał popędzić konie.

— Oho — rzekł, przyglądając się im krytycznie — te biedne zwierzęta wyglądają mi na bardzo zmęczone. Boję się, że nie wytrzymają długo. Jak dawno są w drodze?

— Od rana. Jadę z Dieppe, gdzie nocowałam.

— I dokąd pani jedzie?

— Aż nad brzeg Sekwany.

— Tam do licha! Szesnaście albo siedemnaście mil w jednym dniu i w takim tempie! To nie do wiary.

Nie odpowiedziała nic.

Między dwiema szybkami, na przodzie bryczki znajdowało się wąskie lustro, w którym mógł widzieć jej odbicie. Z ciemnego toczka, jakim zastąpiła swój liljowy kapelusz, spływał gęsty welon, przysłaniając jej twarz; odrzuciła w tył ten welon i zdjawszy z siatki małe neseser, poczęła zeń wyjmować lustra, grzebienie, szminki...

Wreszcie znalazła to, czego szukała: niewielkie lustro, w którym przyglądała się długo swej zwiędłej, postarzałej twarzy.

Odkorkowawszy mały flakonik, nalała zeń kilka kropel na powierzchnię lustra, wytarła je kawałkiem jedwabiu i znów wpatrzyła się w swoje odbicie.

Raul, który patrzył na nią, nie rozumiejąc jej zabiegów, zauważył, iż oczy jej przybrały wyraz skupiony, tak jakby cała jej wola skoncentrowała się w tem spojrzeniu.

Minęło dziesięć, piętnaście minut; nie mówiła ani słowa, zdawała się nic nie widzieć wokoło, zapominać o wszystkim, co ją otaczało, oczy jej z niezwykłym, niemal bolesnym napięciem wpatrzone były w lustro. I stopniowo twarz jej poczęła się zmieniać: kąciki ust podniosły się w górę, włosy, usta i zęby nabrały blasku, policzki zaokrągliły się i zabarwiły, skóra na czole, brodzie, na szyi zdawała się ściągać. Józefina Balsamo, z jej zagadkowym uśmiechem, z jej niezwykłą urodą, wyjrzała naprzód blado, potem coraz wyraźniej z twarzy tej nagle postarzałej kobiety, aż wreszcie cud spełnił się i zdumiony Raul ujrzał przed sobą postać jaśniejącą niezaprzeczoną urodą młodości.

Ale młody człowiek nie wierzył w cuda. I to, czego był świadkiem, wydało mu się wytworem żelaznej woli, niezłomnej wiary w siebie, wpływem jasnej myśli, potężnego ducha, na słabą materję. Flakon, lustro, chęć — zdawały mu się tylko akcesorjami obliczonymi na wywołanie efektu.

Gdy odłożyła lusterko, wziął je i obejrzał uważnie; było to najwidoczniej to samo, które Godefroy d'Etigues opisywał na owem pamiętnem zebraniu, jako cudowne lusterko Cagliostro. Złota jego oprawa była silnie porysowana, herb hrabiowski zdobił jego podstawę, a pod nim znajdowała się wyryta data rok 1783, i cztery zagadki Cagliostro.

Wiedziony dziwną chęcią zrobienia przykrości swej towarzysze, Raul zauważył drwiąco:

— Ojczulek pani zostawił jej bezcenny spadek. Jak się przekonuję, talizman ten zaciera przykre skutki najsilniejszych wzruszeń.

— W istocie przyznać muszę — odparła — iż straciłam głowę, co zresztą rzadko mi się zdarza. Dotychczas radziłam sobie w stokroć gorszych okolicznościach.

— W gorszych? I to stokroć?... — szepnął powątpiewająco.

Umilkli. Konie mknęły równym, wyciągniętym kłusem.

Hrabina Cagliostro znów przysłoniła twarz welonem. Raul siedział ze skrzyżowanymi ręko-

ma i wyglądał przez okno. Czuł, że nie było nic wspólnego między nim a tą kobietą, która jeszcze kilka godzin temu była mu tak bliską. Jej zagadkowa dusza odkryła mu jedną ze swych stron, a strona ta była tak czarną, iż Raul mimowoli wzdrygnął się.

Jakże różną była rzeczywistość od jego marzenia! Te oczy tak cudne, ten czysty uśmiech — kryły duszę szantażystki i złodziejki. Miłość, którą z takim entuzjazmem składał niedawno u jej stóp, wydała mu się w tej chwili śmieszna i wstrętą. Gdyby miał siłę zdobyć się na decyzję, byłby otworzył drzwi bryczki i ratował się ucieczką. Ale czuł się tak zmęczonym i rozbitym, iż nie mógł uczynić kroku. Gorzkie uczucie rozczarowania ścisnęło go za gardło, a myśl jego pobiegła ku Klaryssie d'Etigues, ku temu dziewczęciu, co z takim naiwnem zaufaniem, z dziewczęcą niewinnością oddało mu całe swe życie.

Józefina Balsamo nie wyrzekała się jednak tak łatwo swych zdobyczy; aczkolwiek idealny jej obraz rozwiął się bez śladu, pozostała prze-

cież jej uroda, uroda tak potężna, że zdolna jeśli nie zatrzeć, to przytłumić wszelkie ujemne wrażenia. Zapach jej perfum, łącząc się z zapachem jej ciała, słodką falą objął Raula, budząc w nim z nową siłą namiętność.

— Josyno, Josyno moja! — szepnął cicho, aby go nie mogła usłyszeć.

Na cóż miał mówić? Raz straconego zaufania już nic nie mogło wrócić, poniżona i sponiewierana miłość nie mogła odzyskać swojego uroku.

Zbliżano się do Sekwany. Bryczka toczyła się po szosie wiodącej ku Rouen; zboczywszy nieco, Leonard wstrzymał konie przed niewielkim gajem, z za którego widać było błękitną wstęgę rzeki. Gdy Raul i hrabina wysiedli, konie ruszyły szosą dalej.

Józefina Balsamo uszła parę kroków, poczem zwracając się ku towarzyszowi, wyciągnęła doń rękę i rzekła:

— Do widzenia, Raulu. Czas nam się rozstać. Za kilka minut dojdzie pan do stacji Maillerie, skąd...

— A pani? — przerwał.

— O, ja mieszkam tutaj, tuż blisko.

— Nie widzę żadnego budynku.

— Mój domek kołysze się na falach Sekwany. Widzi pan tę barkę tuż przy brzegu? Oto gdzie mieszkam.

— A więc odprowadzę panią.

Szli wąską miedzą, dzielącą łąkę na dwie nierówne części; hrabina wyprzedzała Raula o parę kroków.

Zatrzymali się u stóp niewielkiego pagórka, tuż nad brzegiem, o kilkadziesiąt kroków od barki, oddzieleni od niej gęstą zasłoną krzewia. Nie było nikogo wokół, nikt nie mógł słyszeć ich ani widzieć, tylko niebo świeciło nad nimi najczystszym szafirem, a leciutki zefir kołysał bujny szmaragd łąki. Była to jedna z tych chwil, która decyduje o życiu człowieka, a których pamięć nie zaciera się nigdy.

— Pożegnajmy się — szepnęła Józefina Balsamo, po raz drugi wyciągając rękę.

Ale on i tym razem ręki tej nie ujął; wówczas zapytała:

— Nie chce pan przyjąć mojej dłoni?

— Ależ tak... owszem. Tylko nie wiem, czemu mielibyśmy się rozstać?

— Bo nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

— Już nic, a jednak nie powiedzieliśmy sobie nic prawie.

Ujął jej wąską, białą rękę w swoje obydwie dłonie i zapytał:

— Niech mi pani powie... niech mi pani powie otwarcie, czy słowa tych ludzi, tam, u matki Vasseur, czy te słowa były prawdą?

Pragnął, aby mu zaprzeczyła, aby choć za cenę fałszu mógł ludzić się jeszcze trochę, ale zdziwiona, jakby dotknięta jego pytaniem, rzekła:

— Pod jakim względem może to pana obchodzić?

— Jakto?

— Moznaby doprawdy sądzić, że to, czego pan dzisiaj był świadkiem, wpłynęło na zmianę pańskiego postępowania.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Ależ to bardzo proste. Chcę powiedzieć, że rozumiałabym pańskie oburzenie, gdyby było

ono wywołane fałszywymi bezsensownymi oskarżeniami Beaumagnan'a, ale dziwi mię, że muszę je przypisać temu, co zaszło dzisiaj.

— Nie mogę zapomnieć tego com słyszał.

— To co pan słyszał w Hais d'Etigues, nie stosowało się do mnie. Mówiłam już to panu, i głośno wskazałam wówczas winowajczynię. Jest nią markiza de Belmonte. A co się tyczy przewinień jakie zarzucano mnie dzisiaj, to sądzę, że nie warto o nich wspominać.

Był tak zaskoczony takim postawieniem kwestji, iż nie mógł narazie znaleźć odpowiedzi, ona zaś, ciągnęła dalej nieco ironicznie:

— A może to wicehrabia Raul d'Andrassy czuje się dotkniętym w swych arystokratycznych przesądach, w swych dziedzicznych tradycjach honoru, uczciwości, etyki?

— A gdyby tak istotnie było? Czyż nie mam powodu czuć się rozczarowanym?

— Brawo! Nareszcie dotarliśmy do jądra sprawy. Jest pan rozczarowany, zapewne boleśnie rozczarowany. Gonił pan za pięknym snem, który rozwiął się bez śladu, zostawiając gorzkie

wspomnienie. Niechże pan będzie szczerym do końca. Spotkał pana ciężki zawód, tak?

Odparł sucho i krótko:

— Tak.

Przez chwilę patrzyła nań uważnie; potem spytała:

— Uważa mnie pan za złodziejkę, zwykłą złodziejkę, czy tak?

Odpowiedział znowu, jeszcze zimniej:

— Tak.

Roześmiała się nagle i rzekła:

— No a pan?

I kładąc mu dłoń na ramieniu, ciągnęła rozkazująco, przechodząc nagle poufale i niemal szorstko na „ty”.

— A ty, a ty mój mały? Zrzućże także swą maskę i powiedz mi kim jesteś?

— Przedstawiłem się pani. Jestem Raul d'Andrassy.

— Nieprawda, mój mały. Nazywasz się Arsene Lupin, i jesteś synem Teofrasta Lupin'a, który, poza boksem, gimnastyką i fechtunkiem uprawiał zawodowo kradzież, był sądzony w Sta-

nach Zjednoczonych i umarł w więzieniu. Twoja matka wróciła ze wstydu do swego panieńskiego nazwiska i przebywała w charakterze ubogiej krewnej — rezydentki u swego dalekiego kuzy-
na, księcia de Dreux—Soubise. Przypomnij so-
bie, jak pewnego pięknego poranka skradziono
księżnej historyczny klejnot, olbrzymiej warto-
ści: ni mniej ni więcej, jak sławny naszyjnik
Marji Antoniny. Pomimo poszukiwań nie odna-
leżono naszyjnika, ani nie wykryto złodzieja.
Ale zdaje mi się, iż my oboje znamy go dobrze:
to ty, nim byłeś, a miałeś wówczas sześć lat!...

Raul słuchał, blady ze wściekłości i wstydu;
wreszcie wyjąkał:

— Matka moja znosiła biedę i upokorzenie.
Chciałem ją ratować...

— Zapomocą kradzieży?

— Miałem zaledwie sześć lat.

— Ale dzisiaj masz ich dwadzieścia; matka
twoja już nie żyje a ty jesteś zdrów, inteligentny
i pełen energii. Powiedz mi co robisz, z czego ży-
jesz dzisiaj?

— Pracuję.

— O, wiem, że trudnisz się niemało — kradnąc.

Nie dając mu czasu do obrony ciągnęła dalej:

— Nie upieraj się, Raulu, to zbyt ciężkie. Śledzę cię oddawna i mogłabym ci przypomnieć rozmaite twoje uczynki z bliższej i dalszej przeszłości, które w niczem nie ustępują temu, co słyszałaś dziś o mnie u matki Vasseur. I ty, tak jak ja, znasz się z policją, żandarmami, sądem i aresztem, a masz zaledwie dwadzieścia lat. I zdaje ci się, że masz prawo sądzić innych, dlatego że przypadek ukazał ci dzisiaj rąbek mego życia. Ale ja za to znam twoje do najdrobniejszych szczegółów, wiem że kradniemy oboje, ale dlatego właśnie, że to robimy — nie mówmy o tem. Rzućmy zasłonę na to, co jest w nas brzydkim, zamiast nawzajem wyrzucać je sobie.

Nie oponował. Czuł się tak bezmiernie moralnie zmęczonym, iż lży dusiły mu gardło. Życie wydawało mu się płaskie, odarte z wszelkiego powabu, bez żadnej wartości.

— Po raz ostatni żegnam Cię, Raulu.

— Nie... nie — szepnął żałośnie — nie trzeba.

— Przeciwnie: trzeba. Przyniosłabym ci tylko nieszczęście. Nie wiąż swego życia z mojem. Jesteś ambitny, energiczny, zdolny... cała przyszłość przed tobą.

— A ty?

— Ja? — powtórzyła cicho — Moja droga nie jest dobrą drogą.

— Więc czemu nią idziesz? To właśnie tak bardzo mnie boli, Josyno.

— Dla mnie już zapóźno.

— I dla mnie też.

— Ty jesteś młodym. Możesz się jeszcze ratować i powinieneś uciekać przed tą straszną przyszłością, która ci grozi.

— I zostawić mam ciebie?

— Takim jest już moje życie.

— Ohydne życie, ciężkie, brzydkie.

— A więc po co chcesz je dzielić?

— Bo cię kocham.

— Tembardziej uciekaj. Ty i ja nie powin-

niśmy się kochać. Ty musiałbyś się mnie wstydzić, a ja nie mogłabym ci ufać.

— A jednak Kocham cię.

— Kochasz mnie dzisiaj. Czy będziesz jeszcze kochał jutro? Wierzaj mi, Raulu, że lepiej postąpisz, stosując się do prośby, jaką ci wypisałam na mojej fotografii: nie staraj się nigdy mnie odszukać.

— Tak — szepnął Raul — być może, że masz rację. Ale boli mnie ta myśl, że wszystko między nami się skończyło zanim jeszcze zdążyło naprawdę się zacząć. Tyle, tyle marzyłem o tobie, a ty mnie zapomnisz...

— Czyż można zapomnieć człowieka, któremu się zawdzięcza życie?

— Zachowasz mi może wdzięczność, ale zapomnisz, że cię kochałem.

— Nie zapomnę nigdy.

Mówiąc to potrząsnęła głową, i nagle przechodząc znów na „pan”, ciągnęła ze wzruszeniem:

— Pańska przytomność umysłu, odwaga, ta dziwna szczerłość, i to czego w panu zrozumieć

jeszcze nie mogę, ale co mnie czaruje i porywa, nie, tego nie zapomnę.

Trzymali się ciągle za ręce. Raul nie spuszczał z niej oczu, a niewypowiedziana tkliwość przepełniała mu serce.

— Kiedy dwoje ludzi się rozstaje — rzekła łagodnie — i to rozstaje na zawsze, powinni zwrócić sobie to wszystko, co od siebie nawzajem otrzymali, a więc proszę pana o zwrot mojej fotografii.

— Nigdy — odparł — nie mogę się z nią rozstać.

— A więc ja będę bardziej wspaniałomyślna, rzekła z dziwnym uśmiechem — i oddam panu to, co od niego otrzymałam.

— Co takiego, Josyno?

— Owej nocy... w stodole... czułam przez sen, jak pan złożył na moich ustach pocałunek...

Zarzuciła mu obie ręce na szyję i przywarła wargami do jego warg w gorącym, długim uścisku.

— Josyno — szepnął, gdy wreszcie oderwali

się od siebie — Josyno, rób ze mną, co ci się spodo-
 ba. Kocham cię, kocham bez granic...

Szli brzegiem Sekwany. Trawa ugięła się
 pod ich stopami, gałązki krzewów pochyliły się
 jakgdyby w ukłonie. Szli spleceni silnym uści-
 skiem, bez żadnych myśli, prócz myśli o szczę-
 ściu, jakie pierwszy dzień miłości obiecuje
 wszystkim kochankom.

— Jeszcze jedno słowo, mój Raulu. Taka
 zazdrość, taka wyłączność rodzi się we mnie, gdy
 jestem przy tobie. Przyznaj się: czy jest jaka
 kobieta prócz mnie?

— Niema żadnej.

— Otóż i pierwsze kłamstwo — powiedziała
 gorzko.

— Nie skłamałem, droga.

— A Klaryssa d'Etigues? Widywaliście się
 skrycie w gajach, na łąkach. Wyszledzono was.

— Stare dzieje — rzekł z rozdrażnieniem —
 bez poważniejszego znaczenia.

— Przysięgasz mi?

— Przysięgam.

— A więc dobrze — rzekła chmurnie — tem lepiej dla tej smarkatej. Radzę jej, aby nigdy nie ważyła się stanąć między nami.

Raul przytulił ją do siebie.

— Kocham ciebie; tylko ciebie, Josyno. Nie kochałem nikogo przed tobą. Moje życie zaczęło się dzisiaj.

ROZKOSZE KAPUI.

„Bystra“ była barką taką samą, jak wszystkie inne; stara, zużyta, ale mocna i starannie utrzymywana przez marynarza Delâtre i jego żonę, którzy pełnili na niej rozliczne funkcje służby i załogi. Dla niewtajemniczonego oka „Bystra“ była barką przewożącą skrzynie, beczki, koszyki, ale właściwie nie przewoziła niczego.

Mieściła pod pokładem trzy niewielkie kajuty, czyste i wygodnie umeblowane. Były to duże sypialnie, przedzielone salonikiem i tutaj spędził Raul cały miesiąc z Józefiną Balsamo. Oboje Delâtre byli chmurni i milczący, wypełniali swoje obowiązki, nie wdając się nigdy w żadne rozmowy. Od czasu do czasu zjawiał się na horyzoncie niewielki statek i holował „Bystrą“ wzdłuż rzeki.

W trakcie tych podróży Raul podziwiał z pokładu rozwijające się przed nim słiczne widoki, podczas postojów odbywał długie wycieczki w towarzystwie swej ukochanej.

Dnie nieporównane! Raul jaśniał młodością i szczęściem. Malownicze wschody i zachody słońca, lasy w Bretonne, ruiny w Saint-Georges, cudowne zabytki w Rouen — wszystko dawało mu powód do wyrażania swej miłości w najżywszy, najnamiętniejszy sposób.

Jozyna, bardziej skryta, uśmiechała się tylko jak przez sen. Raul z każdym dniem stawał jej się droższym, i to, co z początku było u niej kaprysem, — z przemijającej miłości przedziergnęło się w miłość. Cierpiała, czując, że kocha zbyt silnie.

O przeszłości, i o tem co w sobie kryła, nie wspominali nigdy. Raz jeden tylko Raul, strojąc żarty z tego, co nazywał cudem jej wiecznej młodości, naprowadził rozmowę na ten temat.

— Cudem jest coś, czego nie rozumiemy — odparła mu — na przykład jadąc tutaj, zrobiliśmy dwadzieścia mil w ciągu jednego dnia. To-

bie to się wydało cudem, ale gdybyś był bardziej uważnym, spostrzegłbyś żeśmy mieli cztery a nie dwa, jak sądziłeś konie. Leonard zmienił zaprząg w zajezdzie w Daudeville, co było zawczasu przygotowane.

— Wspaniale — zawołał Raul z uznaniem.

— A teraz drugi przykład. Nikt na świecie nie domyśla się w tobie Arsena Lupin, a jednak, owej nocy, gdyśmy się spotkali poraz pierwszy, wiedziałam już, kim jesteś w istocie. I to nie był żaden cud; poprostu interesuje mnie wszystko, co ma jakikolwiek związek z Cagliostrem. Otóż czternaście lat temu, dowiedziawszy się o owej kradzieży historycznego naszyjnika księżnej de Dreux — Soubise, przeprowadziłam najściślejsze śledztwo, które naprowadziło mnie na ślad małego Raula d'Andrassy, syna Teofrasta Lupina. Śledząc cię w dalszym ciągu, dowiedziałam się z czasem o innych twoich sprawkach. Otóż i nasza znajomość.

Raul zastanowił się kilka chwil, potem rzekł poważnie:

— W owym czasie, moja Jozyno, albo miałś lat dziesięć, a trudno uwierzyć, aby taki dzieciak mógł odkryć prawdę, której nie udało się odkryć najzręczniejszym ludziom, albo też byłaś już wtedy dorosłą kobietą, co byłoby tym razem naprawdę cudowne, piękna córko Cagliotra!

Żart nie przypadł jej do gustu, zmarszczyła brwi i powiedziała krótko:

— Nie mówmy o tem, dobrze?

— Szkoda — rzekł Raul, którego w głębi serca irytowało to, że znała przeszłość jego i pochodzenie, — doprawdy nic mnie tak nie interesuje, jak problemat twego wieku i historia twego stoletniego życia. Wyrobiłem sobie o tem swoje osobiste zdanie, i to dosyć zajmujące.

Spojrzała nań z mimowolnem zaciekawieniem, a on korzystając z tego, ciągnął lekkim, żartobliwym tonem:

— Rozumowanie moje opiera się na dwu przesłankach: 1-e jak twierdzisz sama, cuda nie istnieją, 2-e jesteś córką swojej matki.

Roześmiała się na te słowa.

— Co za obiecujący początek!

— Ponieważ jesteś córką swej matki, więc musiała istnieć przed tobą jakaś hrabina Cagliostro. Przypuśćmy, że mając lat dwadzieścia pięć zasłynęła urodą w Paryżu i potrafiła zaintrygować dwór Napoleona III. Z pomocą swego rzeźkomego brata (wszystko jedno, czy to był jej brat, przyjaciel, czy kochanek) ułożyła całą historję pochodzenia od Cagliostro i wystawiła fałszywe dokumenty, któremi posługiwała się policja przy wyjaśnieniu pochodzenia córki Józefiny Beauharnais i hr. Cagliostro. Wygnana jedzie najpierw do Włoch, następnie do Niemiec i znikła... aby po dwudziestu dwu latach znowu się zjawić, tym razem jednak jako godna uwielbienia córka obecnej tutaj drugiej hrabiny Cagliostro.

Jozyna siedząc bez ruchu, nie wyrzekła ani słowa. Ciągnął więc swoją opowieść dalej.

— Najzupełniejsze podobieństwo między matką i córką, tak doskonałe podobieństwo... Zresztą pocóż mówić o obu hrabinach. Jest tylko jedna, jedyna, którą mam przed sobą. Ona to odziedziczyła tajemnicę ojca swego, Józefa Bal-

samo, hrabiego Cagliostro. Beaumagnan, który rozpoczął swoje śledztwo, nieuchronnie napotykał się na dokumenty, które już policję napoleońską w błąd wprowadzały i na miniatyrę i na obrazy, które identyczność tej samej osoby wskazywały i jej pochodzenie określały na czasy Madonny Luiniego.

Oprócz powyższego jest jeszcze jedno świadectwo — księżę d'Arcole. Księżę widział hrabinę Cagliostro tylko raz jeden a znając obraz Madonny, nie mógł powstrzymać okrzyku: Oto ona i ciągle jeszcze w tym samym wieku!

W odpowiedzi zasypałaś go dowodami w postaci, że rozmowa ta miała miejsce z twoją matką, o której dowiedziałaś się z jej starannie prowadzonego pamiętnika. To jest podstawa i podłoże dalszych przygód.

Wszystko jest nadzwyczaj proste. Matka i córka, podobne do siebie, których piękność przypomina obraz Luiniego.

Istnieje jeszcze coprawda markiza Belmonte. Ja jednak znajduję, że podobieństwo tej damy do ciebie jest niewielkie i tylko wyschnięty

i obłądny mózg pana Beaumagnan mógł was obie pomieszać. Wszystko to nie jest jeszcze dramatem, a dla mnie bardzo miłą i dobrze zadziergniętą intrygą, którą przyrzekam wyjaśnić.

Raul zamilkł. Nie uszło jego uwadze, że twarz Józefiny Balsamo nieco pobladła i rysy twarzy ściągnęły się w gniewie. Zaśmiał się więc i rzekł:

— Trafiłem, co?

Józefina Balsamo poruszyła się niespokojnie.

— Przeszłość moja należy do mnie i wiek mój nie ma nic do rzeczy. Zresztą możesz sądzić o tem, co ci się żywnie podoba.

Raul rzucił się ku niej i objął ją silnym uściskiem.

— Myślę, że masz około czterystu lat Józefino, a nie ma nic droższego pod słońcem, nad pocałunek takich stuleci! Możliwe, że znałaś Robespierre'a i Ludwika XVI.

Nie było więcej o tem mowy. Raul d'Andrassy przy każdej próbie wznowienia tego tematu widział tak wyraźną niechęć, że zaniechał wszelkich prób. Zresztą czyż nie znał całej prawdy?

Znał ją i nie miał żadnej wątpliwości. Pozostała jeszcze jedna tajemnica, która go przykuwała do młodej kobiety.

Pod koniec trzeciego tygodnia zjawił się znowu Leonard. Pewnego poranka spostrzegł Raul kocz, zaprzężony w dwa nędzne koniki, które mi hrabina odjechała. Wieczorem tegoż dnia powróciła. Leonard wyładował bele, owinięte starannie sznurami i znikł za tajemniczymi drzwiami, których Raul dotychczas nawet nie zauważył.

Nocą udało się Raulowi otworzyć owe drzwi i zobaczyć zawartość paczek. Mieściły one wspaniałe koronki i cudowne komże i stroje mszalne.

Na trzeci dzień odbyła się podobna wycieczka. Rezultat: Prześliczne gobeliny z szesnastego stulecia.

Tego dnia Raul nudził się bardzo. Kiedy znalazł się pewnego dnia sam w Mantes wynajął rower i pojechał przed siebie. Po śniadaniu, opuszczając małe miasteczko, zauważył dom w którego ogrodzie kręciło się sporo ludzi. Podjechał bliżej. Licytowano piękne meble i srebra.

Z nudów obszedł cały dom wokół. Szczytowa ściana domu wychodziła na opuszczoną część ogrodu. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, chwycił Raul za występ muru i zajrzał do wnętrza przez okno.

Dał się słyszeć krzyk. Raul rozpoznał głos Józefiny Balsamo, która jednak opanowała się szybko i rzekła zupełnie swobodnie:

— Ach, to ty, Raulu? Podziwiam ten zbiór małych oprawnych książek... prześliczne i rzadkie.

To było wszystko. Raul okiem znawcy ocenił książki, podczas kiedy hrabina zręcznie wyjęła z witryny medaljon, tak że Raul nawet nie spostrzegł tego.

Zeszła na dół. W różgwarze wielu zebranych osób nie zwróciła niczyjej uwagi.

W odległości trzystu kroków oczekiwał na nią powóz.

Odtąd „pracowali” razem w Pontoise, w Saint-Germain oraz niekiedy w Paryżu.

Przy wyprawach tego rodzaju Raul wyraźnie zyskiwał coraz większą wyższość nad skrytym

charakterem i zagadkową duszą Józefiny. Wesoły uśmiech wieńczył każdą jego operację.

— Stało się — mówił. Pokazałem cnocie plecy. Zresztą bierzmy to wszystko lżej, nie tak melancholicznie... jak ty Józefino.

Przy każdej nowej okazji odkrywał w sobie coraz nowe talenta i ukryte własności. Nieraz towarzyszka jego słyszała w towarzystwie, na wyścigach czy w teatrze wesoły jego głos a jednocześnie widziała w rękach ukochanego złoty zegarek, lub w krawacie nową, kosztowną szpilkę.

I zawsze ta sama zimna krew i spokój człowieka, któremu nic nie grozi.

Nie przeszkadzało mu to jednak w przedsięwzięciu wszelkich środków ostrożności, jakie zalecała Józefina. Sama ona opuszczała statek w ubraniu kobiety z ludu. W jednej z sąsiednich ulic oczekiwał na nią kocz zaprzężony w jednego konia. W nim przebierała się, narzucając na siebie koronkowy szal który służył jej jako płaszcz.

Te i inne niezliczone drobnostki ukazywały Raulowi ukochaną w prawdziwym świetle. Nie

wątpił, że jest ona hersztem jakiejś bandy, z członkami której porozumiewała się za pośrednictwem Leonarda. Nie wątpił również, że Józefina w dalszym ciągu starała się wyświecić zagadkę średniowiecznego świecznika i śledziła Beaumagnan'a i jego przyjaciół.

Podwójne życie, jakie prowadziła, było źródłem ustawicznych wyrzutów ze strony Raula, który sam zapominał o swoich czynach. Ukochana — która była złodziejką i przywódczynią bandy! Nie, nie taką rolę marzył dla swojej wybranej. Coraz częściej zdarzały się owe nieporozumienia i coraz ostrzejszy był ich charakter. Pewnego dnia spostrzegli wchodzących do „Varieté” trzech przyjaciół, Beaumagnan'a, d'Etigues i Bennetot'a.

— Chodźmy za nimi.

Hrabina wahała się. Raul jednak nalegał.

— Jak można nie wykorzystać takiej okazji, byłoby to błędem nie do darowania.

Weszli oboje i zajęli miejsce w ciemnej parterowej łoży.

W jednej z łóż w pobliżu sceny rozpoznali Beaumagnan'a, z jego dwoma przyjaciółmi.

Natrętnie cisnęła się Raulowi myśl: Co skłoniło Beaumagnan'a, człowieka religji i surowych obyczajów, do odwiedzenia bulwarowego teatryku, w którym dawano bardzo naciągnięty program, nie mogący go w żadnym razie interesować.

Raul podzielił się tą myślą z Józefiną. Nie odpowiedziała mu ani słowem. Mniemana obojętność, z jaką przyjęła jego uwagę, wskazała Raulowi dokładnie, że w tym wypadku kobieta ta nie życzy sobie jego współpracy.

— Dobrze — zadecydował — każdy dla siebie. Zobaczmy komu przypadnie najsmaczniejszy kąsek.

Na scenie dawano aktualne kawałki. Młoda aktorka, Commere, w roli „szmeru“, usprawiedliwiała go istnym potokiem fałszywych kamieni, które wprawione w ruch podrzutami giętkiego ciała przypominały szum strumienia.

Dwa akty minęły. Łoża w pobliżu sceny, zasłonięta firanką, nie pozwalała widzieć trzech

przyjaciół. Podczas przerwy, Raul przechodząc mimo, zauważył uchylone drzwi. Zajrzał ostrożnie. Nikogo. Nikogo nie było. Służba objaśniła go, że trzej panowie opuścili teatr przed pół godziną.

— A więc i nam nie pozostaje nic innego, jak pójść w ich ślady — rzekł do hrabiny.

Nim jednak otrzymał odpowiedź, podniesiono kurtynę do góry.

Na scenie zjawiła się Commère. Roztrzęsioną jej fryzurę obejmowała opaska ze złotej tkaniny z dużymi turkusami. Było ich siedem.

Siedem! pomyślał Raul. To mi wyjaśnia przyczynę wizyty Beaumagnana.

Podczas kiedy Józefina ubierała się do wyjścia, Raul zdążył zasięgnąć informacji, że aktorka Commère, Brygida Rousselin, zamieszkiwała stary dom na Montmartre, skąd codziennie w towarzystwie swej pokojówki, imieniem Walentyna, udawała się na próby do teatru.

Następnego dnia, około godziny jedenastej, Raul opuścił dom. Śniadanie spożył w jednej z licznych restauracyj na Montmartre, około po-

łudnia zatrzymał się w pobliżu wąskiego domu, przytykającego do olbrzymiej budowli. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że najwyższe piętro tej budowli stało pustkami.

W głowie Raula powstał nagle plan, który prawie mechanicznie zaczął wcielać w życie.

Rozpoczął spacer wzdłuż domu, jak gdyby oczekiwał kogoś o umówionej porze.

W jednej chwili, kiedy portjerowa dużego domu zajęta była oczyszczaniem ulicy, przemknął się niepostrzeżenie do wnętrza. Wbiegł na górne piętro i bez trudu otworzył drzwi do pustego lokalu. Upewniwszy się, że nikt go dojrzeć nie może, otworzył okno i zeskoczył na dach niżej położonego budynku.

W pobliżu znajdowało się okienko od strychu, zapełnionego różnymi starymi przedmiotami. Uchyliwszy drzwi prowadzące do wnętrza domu, mógł widzieć klatkę schodową drugiego piętra i częściowo wewnętrzne stopnie domu. Drabiny, jednak, któraby mu pomogła do zejścia, nigdzie w pobliżu nie było.

Z dołu, to jest z pierwszego piętra, dały się słyszeć kobiece głosy. Raul wychylił się możliwie daleko i z kilku dorywczych słów wywnioskował, że młoda aktorka jadła śniadanie w sypialni. Cała służba w tym domu składała się z jednej pokojówki.

— Dosyc — zawołała Brygida Rousselin i weszła do jej pokoju.

— Ach! Walentyno, jak to dobrze. Dziś, nie mam żadnej próby. Kładę się i leżeć będę aż do wyjścia.

Obecność aktorki pokrzyżowała zupełnie plany Raula. Miał nadzieję, że podczas jej próby w teatrze uda mu się spokojnie przeszukać całe mieszkanie. Pomimo to czekał dalej cierpliwie, licząc na jakiś szczęśliwy przypadek.

Tak przeszło kilka minut. Brygida nuciła melodje z „revue“, kiedy nagle zabrzmiał dzwonek u drzwi wejściowych.

— „Dziwne — rzekła — nie oczekuję nikogo. Zobacz Walentyno, kto tam?

Dziewczyna zesza na dół. Słysząc było trzasknięcie drzwi, poczem wbiegła na górę i rzekła:

— Z teatru . . . Sekretarz dyrektora przesyła ten list —

— Daj tutaj. Czy poprosiłaś go do salonu?

— Tak.

Raul spostrzegł młodą aktorkę, której pokojówka podawała list.

Rozerwawszy kopertę, czytała półgłosem:

— Kochana, mała Rousselin, bądź łaskawą wydać memu sekretarzowi swój diadem z głowy. Potrzebuję go jako wzoru. Dziś wieczorem w teatrze będzie znów do Twojej dyspozycji.

Kiedy Raul usłyszał tych kilka zdań, zadrżał cały.

— Więc to tak! Diadem z kamieniami. Z siedmioma turkusami!

Czyżby dyrektor był również na tropie? Ciekawe czy Brygida zastosuje się do jego życzenia. Uspokoił się jednak wkrótce. Młoda kobieta wyszeptała:

— Niemożliwe, kamienie te już przyrzekłam.

— Nieprzyjemna sprawa — wtrąciła Walentyna — Dyrektor będzie się wściekał.

— Cóż chcesz? Ja przyrzekłam je komuś, kto mi dużą sumę za nie ofiarowuje.

— Jaką więc odpowiedź mam zanieść sekretarzowi?

— Poczekaj, napiszę mu kilka słów.

Weszła do swej sypialni i w kilka minut później wręczyła dziewczynie kopertę.

— Czy znasz tego sekretarza? Widziałas go kiedy w teatrze?

— Nie. To musi być jakiś świeżo zaangażowany.

— Niech powie dyrektorowi, że mi jest niewymownie przykro, ale wieczorem osobiście tę sprawę wyjaśnię.

Walentyna zeszała. Minęła znowu długa chwila. Brygida usiadła do fortepianu, przerabiając ćwiczenia głosowe, które zagłuszyły skrzyp drzwi wejściowych tak, że Raul ich nie słyszał.

Było coś dziwnego w tym zbiegu okoliczności, czego Raul nie mógł narazie pojąć. Sekretarz, którego nikt nie zna; prośba o wypożyczenie ka-

mieni. Wszystko to było zbyt przypadkowe, aby mogło być naturalne.

Wkrótce jednak uspokoił się. Widząc cień przechodzącej osoby, pomyślał, że Walentyna wróciła z powrotem do sypialni, a więc tem samem podejrzenia okazały się błędne. Człowiek ten wyszedł.

Nagle fortepian zamilkł i taburet, na którym śpiewaczka siedziała, został energicznie popchnięty i dał się słyszeć pełen niepokoju głos:

— Kto pan jest? ... Ach, sekretarz nieprawdaż? Nowy sekretarz. Ale co pan sobie właściwie życzy?

— Pan dyrektor — rozpoczął męski głos, dał mi rozkaz dostarczenia mu owej przepaski. Muszę więc ...

— Ależ ja w tej sprawie odpisałam mu — wtrąciła Brygida, ciągle jeszcze wylękniona. — Pokojówka zapewne list ten panu wręczyła. Dlaczego ona z panem nie wróciła? Walentyno!

Kilkakrotne wezwania pozostały bez echa.

— Walentyno!... Ach pan mnie przestraszał! Pańskie oczy...

Drzwi, pchnięte silną dłońią, zatrzasnęły się. Raul usłyszał padające krzesło, niewyraźne odgłosy walki i naraz głośny krzyk:

— Na pomoc.

Poczem zapanowała martwa cisza. Raul jednym skokiem, mimo znacznej wysokości, znalazł się na drugim piętrze i stanął przed trzema zamkniętymi drzwiami.

Na los szczęścia rzucił się do jednych, otworzył je i wszedł do pokoju, w którym panował wielki nieład. Ponieważ nie spostrzegł tu nikogo, przebiegł do następnego pokoju i tu, w półcieniu, ponieważ stopy w oknach opuszczono, ujrzał kłęzącego człowieka.

Na dywanie leżała rozciągnięta młoda kobieta, którą łotr obiema rękoma trzymał za gardło. Słychać było ciche jęki i rżenia.

— Do diabła, uspokoisz się wreszcie! Ach, przeklęta, nie chciałaś wydać klejnotów. Poczekaj ty...

Raul rzucił się nań z taką furją, że ten musiał natychmiast puścić ofiarę.

Obaj mężczyźni zatoczyli się i uderzyli o wystający kominek, tak silnie, że Raul stracił chwilowo przytomność.

Morderca był znacznie cięższej wagi i walka między wysmukłym młodzieńcem i człowiekiem o atletycznej budowie i muskulaturze nie mogła trwać długo.

W samej rzeczy po upływie kilku chwil zwalił się jeden z napastników z jękiem na ziemię, podczas kiedy drugi podniósł się.

Tym drugim okazał się jednak Raul.

— Wspaniałe uderzenie, co? — sztych. — Jest to pamiątka moich lekcyj u Teofrastusa Lupin. Kapitalna japońska metoda. W kilka minut można posłać na inny świat lub uczynić potulnym jak jagnię.

Schylił się nad młodą tancerką, uchwycił pod ramiona i przeniósł na łóżko. Natychmiast spostrzegł, że ordynarny chwyt mordercy nie uśmiercił aktorki. Oddychała i nie widać było żadnych ran.

Drżała tylko na całym ciele i błędnymi oczami wpatrywała się weni.

— Czy panią gdzie boli? — szeptał miękko. — Nie, nieprawdaż? Przedewszystkiem pozbadź się pani wszelkiej obawy. Napastnik przestał być groźnym.

Chwycił za sznury przy storach, zerwał je i związał silnie obezwładnionego przeciwnika. Odwrócił go następnie do okna, aby rozpoznać twarz.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył oblicze Leonarda.

Dotychczas nigdy nie miał okazji, aby zajrzeć zbliska w twarz temu człowiekowi. Wiecznie siedzący na koźle, zawinięty w paltot i zwrócony doń plecami, nie dawał pola do obserwacji.

Znał jednak doskonale jego kościsty profil, zarośnięty ciemną brodą. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Był to Leonard, prawa ręka i zaufany Józefiny Balsamo.

Związał go dokładniej, zakneblował przezornie i zaciągnawszy do sypialnego pokoju, przywiązał do ciężkiej kanapy, poczem wrócił do młodej kobiety.

— Proszę się uspokoić, nie zobaczy go pani więcej. Teraz pójde zobaczyć pani pokojówkę.

Walentyna leżała w takim samym stanie, jak obecnie Leonard, t. j. związana, zakneblowana i przytwierdzona do łóżka.

Była to jednak sprytna kobietka. Uwolniona z więzów, ściśle zastosowała się do wszystkich wskazówek Raula.

— Jestem agentem tajnej policji. Uratowałem twoją panią. Proszę pójść na górę i otoczyć ją opieką. Ja muszę przesłuchać napastnika i zbadać, czy nie ma współników.

Raul najchętniej byłby się ulotnił. Opanował się jednak i czekał. Serce mu biło niespokojnie. Podszedł do drzwi wejściowych i odemknąwszy zamki, uchylił je nieco.

Przez szparę w drzwiach spostrzegł po przeciwnej stronie ulicy stary kocz.

Na koźle siedział młody człowiek, którego widywał nieraz z Leonardem, imieniem Dominik. Ale czy nikogo nie było wewnątrz? Ktoby to mógł być?

Raul pozostawił drzwi niedomknięte. Podejrzenia jego potwierdziły się i obecnie żadna siła ludzka nie była w stanie oderwać go od zbadania tej sprawy aż do gruntu. Przeszedł na pierwsze piętro i pochylił się nad pojmanym Leonardem.

Pewna drobnostka podczas walki szczególnie zwróciła jego uwagę. Oto duży, drewniany gwizdek zawieszony na łańcuszku, który wypadł w czasie szamotania. Leonard, mimo niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował, chwycił zań, jakgdyby bojąc się go utracić. Czyżby to miał być znak ucieczki dla kompanów, lub też sygnał wzywający pomocy? Raul instyktownie skłaniał się bardziej ku temu ostatniemu przypuszczeniu.

Uchylił nieco okna, aby wyraźniej można było usłyszeć gwizd, sam zaś skrył się za storę, gwizdnął i czekał. Serce mu biło niespokojnie. Przeczynał mające nastąpić wypadki. Wbrew rzeczywistości łudził się jednak jeszcze, że współniczką Leonarda w tem zbrodniczym dziele może nie być...

Drzwi się otworzyły.

Weszła Józefina Balsamo.

Weszła z całą swobodą i spokojem, jakgdyby w odwiedzinach do przyjaciółki.

Czegóż miała się obawiać. Skoro tylko Leonard dał jej umówiony znak, droga była wolna. Spowita więc w swój szal, śmiało wstąpiła w progi domu.

Po nagłym wstrząsie, jakiego Raul doznał na widok Józefiny, uspokoił się już zupełnie. Gotów był do walki z drugim przeciwnikiem, tym razem jednak innymi środkami, jakkolwiek niemniej skutecznymi.

Cicho przywołał Walentynę.

— Cokolwiekby się stało — ani słowa. Widzę tu cały spisek przeciwko Brygidzie Rousse-
lin, który muszę wysledzić. Zalecam więc absolutne milczenie.

— Mogłabym pomóc... Może pobiec po policję?

— Pod żadnym warunkiem. Jeżeli historia stanie się głośną, Brygidzie to poważnie zaszkodzi.

Raul zamknął drzwi, łączące oba pokoje. W ten sposób pokój, w którym leżała Brygida,

został oddzielony od pokoju, w którym miała za chwilę rozegrać się scena między nim i Józefiną.

W tej chwili ukazała się Józefina Balsamo.

Po odzieży poznała natychmiast skrępowanego Leonarda. Raul wiedział dobrze, że kobieta ta w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, potrafi doskonale panować nad sobą. Daleka od tego, aby dziwić się obecności Raula, pracowała jednak myślą intensywnie nad rozwiązaniem zagadki.

Co to wszystko znaczy? Czego tu chce Raul? Kto związał Leonarda?

Wreszcie, odrzucając szal, zapytała zupełnie naturalnym głosem:

— Raul! Dlaczego patrzysz na mnie tak dziwnie?

Potrzebował chwili czasu, aby jej odpowiedzieć. Słowa, które miał wyrzec, były straszne, wpatrzył się więc w nią badawczo, aby nie stracić żadnego drżenia mięśni, czy drgnięcia powiek.

— Brygida Rousselin została zamordowana.

— Brygida Rousselin?

— Tak, tancerka z wczorajszego wieczora z diademem na czole. Ośmielam się wątpić, czy nic o tem nie wiesz, ty, która kazałaś Leonardowi zawiadomić się po ukończonej „robocie“.

Józefina zdawała się tracić zimną krew.

— Leonard? Leonard?

— Tak, — potwierdził. — On zamordował Brygidę. Zaskoczyłem go właśnie w chwili, kiedy oburącz dusił biedną kobietę.

Raul widział, jak Józefina drżała. Upadła wreszcie na krzesło i wyszeptała:

— Nędznik!... Nędznik!... Czy możliwe, aby on to uczynił? —

I cicho dodała ze wzrastającym przestraszaniem:

— Zamordował... zamordował... Czy to możliwe? Przysięgał mi, że mordować nie będzie. Przysięgł mi to. O nie, nie mogę temu uwierzyć.

Była szczerą w tej chwili, czy grała komedję? Straszne pytanie, na które Raul nie znajdował odpowiedzi.

F/II 900

412839/33-83

Józefina Balsamo podniosła głowę, spojrzała na Raula z łsnąciami w oczach łzami i przysięgała ze wzniesionymi rękami:

— Raul... Raul... dlaczego patrzysz tak na mnie? Nie... nie... nieprawda? Ty nie oskarżasz mnie, ach, to byłoby straszne. Jak mogłeś uwierzyć, że ja wiedziałam, że ja mogłam rozkazać lub zezwolić na coś podobnego? Nie, przysięgnij mi, że nie wierzysz temu! O Raul... mój Raulu!

Nieco brutalnie zmusił ją, aby usiadła. Przeszedł kilkakrotnie po pokoju, poczem przystąpił do niej, biorąc ją za ramię.

— Słuchaj mnie, Józefino, zaczął powoli głosem oskarżyciela, jeżeli w przeciągu pół godziny nie wyjawisz mi zupełnie całej historii i jej współuczestników, to postąpię z tobą, jak ze śmiertelnym przeciwnikiem. Oddam Cię w ręce policji. Ciebie i twoich kompanów. Czy zechcesz wobec tego mówić? —

Koniec tomu pierwszego.



BP
Antyko. Nauk
W-wa 11-04-83

450, —

